TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM III.

WARSZAWA.

1839.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy,
Ale miłemi barwy wdzięcznie bawi oczy.

ŻYCZENIA.

Ach, jakbym rad zostać komarem lub muszką,
I zawsze przy Tobie ulatać w około,
Z włosami się bawić, i muskać twe czoło,
I słówka miłośne wciąż szeptać ci w uszko.

Przeglądać się w oku, pić rosę twéj łaski,
To znowu całować pieszczone twe dłonie,
To z ustek zachwycić słodyczy niebieskiéj,
I usnąć na białém jak śniegi, twém łonie.

* * *

ANNA.

I.

Wywód słowny.

Dla czego wystawiają zawsze sprawiedliwość z mieczem i szalkami? Radbym żeby miała zasłonę: często sprawiedliwość popełnia niesprawiedliwość.

Książe de Ligne.

Niewinność zawsze jest otoczoną własnym swoim blakiem.

Massillon.

Jeżli spodziewasz się znaleść w téj powieśc pożyteczną naukę, cel moralny, nakoniec myśl jaką, zatrzymaj się: napróżno szedłbyś daléj,

bo mam opowiedzieć tylko czyn prosty, prawdziwy, może wzruszający, ale niepobudzający do rozmyślania. Powieść ta dowodzi tyle tylko, ile dowiodła sprawa Calasa, sroki złodzieja, i tylu innych niewinnie potępionych przez uprzedzonych lub zaślepionych sędziów.

W tym szybkim ciągu cierpień i nędzy ani jeden wypadek nie jest zmyślony; jest to całe życie męczarni. Nie jestże to prawdziwa roskosz dla czułéj duszy, kiedy może sobie powiedzieć przy rozwiązaniu powieści smutnéj: przynamniéj łzy moje nie naprózno płynęły; wiem pewno że ona poniosła te wszystkie cierpienia.

Otóż tedy o n a, nie Anna któréj imie czytaliście na początku i którą zanadto jeszcze prędko poznacie, le Marja Schroning, która od dwunastu godzin nosi żałobę po ojcu, w swoich zmienionych rysach, w oczach łez pełnych, nie nosząca jak inne sieroty, opaski z czarnego tiulu, a to dla tego że biedna dziecina, nie miała prawa wziąść ani jednego złotego z domu swego nieboszczyka ojca, Marja, spotkana o godzinie 11stéj w nocy przez Fritzlera stróża nocnego, w chwili gdy przechodziła przez okopy, została przez niego zaprowadzona do burmistrza. Pod czas gdy stara Nancy poszła obudzić swego pana, aby mu donieść, że

jeden z nocnych stróży (Nachtwächter), oczekuje na piśmienny rozkaz zaprowadzenia do więzienia włóczęgi schwytanéj w nocy, Fritzler rozdmuchał kilka szczepek żarzących sie na kominku, i z rubaszną grzecznością, wezwał swoją towarzyszkę, aby się zbliżyła do ognia; od zimnego wiatru pobładły lica i posiniały usta młodéj dziewczyny; zęby jéj i wszystkie członki drżą pod grubym płaszczem, który Fritzler zdjął z siebie w drodze, pomimo wiatru i śniegu, aby nim okryć skościałą młodziuchną tułaczkę. Marja usiadła przy piecu, spogląda na strażnika, okiem które błaga litości, a strażnik wzruszony, widząc 16 letnie dziécię, drzące z zimna i trwogi, wzruszył ramionami na znak współczucia, i rzekł: „Do stu grzechotek, moja mała, zły bardzo czas wybrałaś, do zaczęcia tak podłego rzemiosła.“ Nie sądźcie żeby Fritzler miał grunt serca bardzo czuły, szczególniéj dla nocnych włóczęgów. W tém mieście, w którém próżniactwo jest występkiem przewidzianym przez prawo, Fritzler od 10 lat, uważanym jest, za najnielitościwszego liweranta kandydatów do domu zarobkowego. Biada każdemu bez wyjątku, kogo spotka na ulicy w czasie zakazanym! Ale od dwóch dni, Pani Fritzler wydała na świat córkę

od dwóch dni szczęśliwy ojciec czuje nowe wzruszenie, ilekroć spotyka młodą dziewczynę; myśli o swojéj córce, widząc tę wesołą i uśmiechającą się, i mówi sobie: Taką będzie kiedyś Teresa!—a jeśli to dziécię płacze, Fritzler znowu myśli o swojéj Teresie i z cicha westchnąwszy powie: O Boże! odwracaj podobne zmartwienia od mojéj córki! Pojmiecie teraz wzruszenie Fritzlera na widok Marji, przytrzymanéj w nocy, w czasie i miejcu, w którém tylko występek niecne swe dzieła kryje.

Marja nie wie co się z nią stanie: ale pojmuje, że jéj jakieś nieszczęście grozi, bo Fritzler wspomniał cóś o chlebie, o więzieniu i domu zarobkowym. Nie lęka się ona ani pracy, ani czarnego chleba, ale badań urzędnika przed którym ma stanąć; będzie musiała wyznać co się z nią stało na okopach, gdy wracała z cmentarza, gdzie chodziła płakać swego ojca, którego od kilku lat z taką wytrwałością pielęgnowała, nie będzie umiała wysłowić hańby jaką tam poniosła.

„Ah pomyślała, gdyby strażnik był mi pozwolił rzucić się w rzekę, kiedy przechodziliśmy przez most, byłoby to szlachetnością z jego strony. Ale Fritzler idący za Marją, pilnie uważał wszystkie

jéj poruszenia, dostrzegł zamiar samobójstwa, i zatrzymał ją za suknią w chwili gdy wymawiała ostatnie pożegnanie ziemi. Pozwól mi umrzéć! zawołała Marja padając na kolana.

— Umrzéć! powtórzył Fritzler; gdybyś była moją córką nie zatrzymywałbym cię. Oh, nie Bóg widzi, nie zatrzymywałbym cię! ale nie mam prawa tak z tobą postąpić. Odpowiedzialny jestem za życie podobnych tobie. Idźmy! bodajby połajanie pana Burmistrza, uczyniło się rozsądniejszą na przyszłość! Obawiając cię aby mu nie wymknęła się jego zdobycz, wziął Marją pod rękę, i usłysławszy odgłos kościelnego zegaru, zaczął obwoływać godsinę, Marja postępowała z trudnością: nie tylko zimno czyniło jéj chorobę tak przykrą, okropne boleści dręczyły jéj ciało i duszę i ciągle powtarzała to co mówiła na cmentarzu. Mój Boże! jakbym chciała umrzéć.

Nakoniec przybyli do Burmistrza. Nancy poszła donieść panu swemu o tych nocnych odwiedzinach, zaświeciwszy pierwéj lampą w twarz Marji, która odwróciła się, aby uniknąć téj grubijańskiéj ciekawości, — „Ah! ah... rzekła stara boisz się światła, oswoisz się z niém jak cię przy-

wiążą do pręgieża w samo południe, na środku rynku.

— Mylisz się panno Nancy, rzekł Fritzler, to nie jest złodziejka.

— Chcecie powiedzieć że jeszcze nie jest, przerwała stara sucho, bo przynajmniéj zdaje się być na prostéj drodze do tego. Ale dla czegóż nie zaczekaliście do jutra, pan już się położył.

— Przepraszam rzekł strażnik; zobaczyłem światło w oknie i sądzę że pan burmistrz czuwa jeszcze w swoim gabinecie.

— Doprawdy; myślicie że do 11éj będzie siedział, aby posłać panienkę na ciepły nocleg do więzienia. Nic z tego, wszyscy tu wcześnie spać idą, i gdyby nie prasowanie, które miałam dziś wieczór, dawno już bylibyście znaleźli mię śpiącą.

— Ale ręczę że pan burmistrz nie śpi jeszcze. Pewny głos jakim te wyrazy były wymówione zmięszał starą Nancy; zbladła, pomruknęła z cicha: „Czyby nasz pan dostrzegł co? Oh! wtedy Paweł zginął. Przynajmniéj nie będzie

mógł powiedzieć że go powinna byłam uprzedzić." Westchnęła cicho, potém oddaliła się, jak mówiliśmy mrucząc wyrazy nieukontentowania na Fritzlera i jego młodą uwięzioną.

Po dziesięciu minutach oczekiwania, Pan Hartzwald burmistrz, wszedł do izby gdzie Marja i stróż nocny siedzieli przy ogniu. Fritzler podniósł się na jego wejście i skinął na Marją aby to samo uczyniła. Marja była posłuszną, a pan Hartzwald zmierzywszy obwinioną wzrokiem surowymi potarłszy ręką czoło, jakby dla odpędzenia natrętnéj myśli, usiadł w wielkiém skórzaném krześle, wziął pióro i tak zaczął:

— Jak się nazywasz dziewczyno?

Odpowiedziała bojaźliwym głosem i z spuszczonemi oczyma:

— Nazywam się Marja Schroning. Wczoraj moje sąsiadki nazywały mię dobrą, cierpliwą Marją, ale dziś najwłaściwsze dla mnie imie byłoby: Marja przeklęta od Boga. Te ostatnie wyrazy znikły prawie wpośród łkań...

— Te szczegóły są niepotrzebne; odpowiadaj krótko na moje zapytania, rzekł pan Hartzwald poważnie.

— Ile masz lat?

— Nie mam jeszcze szesnastu skończonych.

— Nieszczęśliwa! zawołał Fritzler, ciągle zajęty losem swojéj maleńkiéj córki, i ty nie pamiętałaś na twego ojca, obierając tak podłe rzemiosło.

— Milczenie! Fritzler, przerwał pan Hartzwałd, czy zapominasz że ja sam tylko mam prawo badania oskarżonéj.

— Przepraszam pana, już milczę, odpowiedział strażnik, pomięszany swojém żywém odezwaniem się.

— Gdzie mieszkasz? zapytał znowu burmistrz drżącéj Marji.

— Nie mam schronienia, Panie Sędzio, odpowiedziała, jeśli mię nie zechcecie odesłać do więzienia, jutro inny jaki strażnik przyprowadzi mię tutaj jako włóczęgę, jeśli mnie nie znajdą umarłą w okopach.

— Bądź spokojną Marjo Schroning, rzekł z goryczą urzędnik; dzięki niebu, liczba niepoczciwych ludzi, nie jest tak znaczną w Norymberdze, żeby dom zarobkowy nie mógł ich zmieścić; jest tam zawsze miejsce dla podobnych tobie. Potém dodał: Jakiż twój stan?

— Nie mam żadnego, panie Sędzio; kiedy utracilam matkę zbyt jeszcze byłam młodą i nie

mogłam nauczyć się tych robót, któremi ona za życia się zajmowała, a od jéj śmierci, najprzód troskliwie pielęgnowałam dwoje sierot, które nie długo ją przeżyły. Nakoniec zostałam samą, przy chorym ojcu. Tak jest panie, zamiast pracować cały dzień jak inne dziewczęta czynią, od ośmiu łat spędzałam noce przy łożu boleści. Bóg dał mi siłę do spełnienia przyrzeczeń, które sama sobie uczyniłam, że nie powierzę ojca mego obcym staraniom i wczoraj po raz ostatni czuwałam. Zatrzymała się i dwie duże łzy spłynęły po jéj licach.

Na tę wzruszającą odpowiedź, Fritzler spojrzał na burmistrza z czułością, w téj chwili nawet pan Hartzwald, zdziwioném okiem spoglądał na młodą włóczęgę.

Było by to bardzo dobrze, żeby to była prawda, rzekł; bo przykłady miłości dziecinnéj tak są teraz rzadkie....Oh tak, bardzo rzadkie! powtórzył cicho wzdychając.

— Marja stała ciągle drżąc. Oblicze urzędnika, miało cóś tak nakazującego, że biedna dziewczyna nie śmiała spojrzéć nań nawet.

— Możesz usiąść Marjo, rzekł burmistrz, a ty Fritzler złóż rapport.

Strażnik zbliżył się do stolika sędziego wachając się, i spoglądając na przemian, to na urzędnika, to na biedną dziewczynę, wybąknął kilka słów nie zrozumiałych, nie mógł się wstrzymać od uczucia głębokiego żalu i uwielbienia dla téj młodéj dziewczyny, która tak szlachetnie przez tyle lat zajmowała się swoim chorym ojcem, słowem, poczciwy strażnik, bał się zwiększyć ciężaru karogodności czynu, rzetelném wyliczeniem okoliczności towarzyszących zatrzymaniu przez niego tego dziecięcia, które chciałby obronić, kiedy powinność, nakazywała mu oskarżać je. Pierwszy raz dopiero, od czasu jak pełnił obowiązki nocnego stróża, Fritzler znajdował się w takim kłopocie między sędzią i oskarżonym.

— Mówże, Fritzler, rzekł burmistrz, zniecierpliwiony, że nic nie mógł zrozumieć z pół-słówek strażnika.

— Przepraszam pana burmistrza, bąknął znowu Fritzler, ale ta mała, powiedziała kilka słów, które dotknęły aż mego serca.... Wiem że nie dobrze uczyniła, bo któż włóczy się po nocach bez złych zamiarów.... zasłużyła na więzienie..to słusznie..ale gdybym był na pańskiém miejscu... wreszcie pan wiesz, jak mu wypada postąpić.... nie do mnie należy radzić...ale powiem szczerze,

że nie mam odwagi pogorszać jéj położenia... Mam także córkę, a Marja, zdaje się, że tak kochała swego ojca! Gdyby surowe połajanie mogło.... Nie prawdaż mała, poprawiła być się?

Marja chciała odpowiedzićć, Pan Hartzwald uprzedził ją. Pierwéj niech wiem jaki jéj występek, rzekł: dla tego Fritzler, żądam, abyś mi natychmiast wyjawił prawdę.

— Nic słuszniejszego, otóż proszę pana, zatrzymałem ją w bliskości starego cmentarza.

— Więc nie w samym obrębie miejsca spoczynku?

— Nie...dość blisko.. ale nie wewnątrz, dodał stróż nocny wachając się.

— Wyszłam poprzednio z cmentarza rzekla naiwnie Marja.

— Ah, nieszczęśliwa! pogorszasz twoją sprawę, przyznając się do tego— pomruknął Fritzler.

— Przynajmniéj mówi szczerze, a ty chciałbyś mię oszukać.

— Nie, proszę pana, odpowiedział strażnik, byłbym wszystko panu powiedział, ale nie tak gwałtownie. Komu innemu bałbym się odkryć co czuję, ale pan który jesteś ojcem, i dobrym

ojcem, pan pojmujesz, ile cierpię pomyślawszy, że zeznanie moje zgubi może biédną dziewczynę, która tak była przywiązaną do swego ojca.

— Niech się ze mną co bądź stanie, odezwała się Marja, powiem szczerą prawdę bo nie umiem kłamać.

— A więc powiedz mi, rzekł pan Hartzwald, sumiennie, dla czego, i jakim sposobem znalazłaś się w nocy, w miejscu niewłaściwém?

— Dowiesz się pan wszystkiego, odpowiedziała Marja powstając. Może nie potrafię wysłowić się tak jak trzeba, ale powiem szczerą prawdę, tak jak gdybym mówiła przed Bogiem, gdyby mię w téj chwili zawołał do zdania sprawy z całego mego życia. Bodajbyś pan, panie sędzio, był dla mnie tak litościwym, jak ten, którego nie można oszukać.

Te proste wyrazy, przejęły duszę urzędnika, żywém uczuciem litości dla biednéj dziewczyny; pojął że to dzicię ma objawić mu swoje nieszczęście nie zaś zbrodnią. Co do Fritzlera, ten tak był wzruszony naiwnemi słowami Marji, iż zapominając się, że p. Hartzwald tylko miał prawo rozkazywać uwięzionéj, rzekł do niéj: „Siedź, siedź moje dziecię, pan burmistrz wysłucha cię i tak, a musisz być zmęczoną! Marja wachała

się przez chwilą, spojrzała na p. Hartzwald, jakby dla zapytania się go, czy pozwoli jéj usiąść: burmistrz skinieniem potwierdził słowa Fritzlera, a Marja siadła i tak zaczęła mówić:

— Wczoraj jeszcze, o téj saméj godzinie, w któréj stoję przed panem, mimowolnie występna i nader nieszczęśliwa; wczoraj jeszcze, miałam nadzieję że moje cierpienia koniec wezmą. Mój ojciec, który nie chciał przyznać przedemną w jakim jest prawdziwie stanie, starał się jednak dać mi do zrozumienia, iż wkrótce przestanę bez senne nocy przy jego łożu trawić. A ja która czułam potrzebę nadziei, przyjęłam jego wyrazy z uniesieniem radości, bo daleką byłam od zrozumienia ich prawdziwego znaczenia! Sądziłam iż mi mówi o swojém wyzdrowieniu, o które tyle błagałam Boga od lat ośmiu; to czyniło mię tak wesołą, iż nie dostrzegłam, że siły jego coraz słabły, a głos jego co raz był cichszym, tak, że bardzo musiałam natężać słuch aby go zrozumiéć. Tyle ufałam miłosierdziu nieba, iż zapomniałam jak to można umrzéć; a jednak panie, widziałam już umierające trzy osoby, bardzo mi drogie. Zamknęłam oczy matki mojéj, mając dopiero lat ośm, a w rok późniéj, pochowałam dwie moje siostry. Ale wczoraj tak byłam pełną nadziei, iż

gdy ojciec mój rzekł do mnie: „Marjo, wkrótce nie będziesz czuwać w nocy, przy mojém łożu.“ ja odpowiedziałam: „Spodziewam się mój ojcze.“ Z uśmiechem mówiłam mu o jego pierwszém wyjściu na świéże powietrze.

Tu Marja zatrzymała się dla otarcia oczu zaćmionych łzami. Fritzler do najwyższego stopnia wzruszony, wziął ją za rękę i rzekł: „Miéj odwagę moje dziecię.“ A pan Hartzwald, wzruszony także wstępem tego opowiadania, tchnącego taką szczerą naiwnością wstał z swego urzędowego krzesła, zbliżył je do pieca i usiadł między Marją i strażnikiem. Widząc ich troje siedzących w ten sposób, w obszernym pokoju, zaledwie oświeconym, słabém światłem żelaznéj u sufitu wiszącéj lampy, pomyślanoby że to dziecię, opowiada pośród swojéj familji, wypadki niebezpiecznéj, długiéj podróży.

— Mów daléj Marjo, rzekł Pan Hartzwald, moją powinnością, jest, wysłuchać cię, abym mógł uznać cię niewinną i uwolnić, albo wydać rozkaz umieszczenia cię w domu zarobkowym. Nie lękaj się wyznać wszystko, tak jakbyś stała przed twoim ojcem, cóż czyniłaś w bliskości starego cmentarza?

— Szükałam miejsca, gdzie przed kilku godzinami złożono zwłoki mojego ojca, aby zapłakać nad wilgotnym grobem, i zapytać się o radę, tego który zawsze obudzał we mnie cnotliwe myśli; bo byłam w téj chwili ścigana myślą występną: nie chciałam już cierpiéć, chciałam odebrać sobie życie. Oh! widzę że to występniejszą mię czyni w waszych oczach; zabić się, to jest zbrodnia; ależ mój Boże możnaż wymagać zastanowienia od biednéj dziewczyny która straciła ostatniego przyjaciela...która nie ma schronienia, ani chleba na jutro!

— Jakto? przerwał Fritzler.

— Nie przerywaj! rzekł burmistrz: Marja mówiła daléj:

— Zaledwie ojciec mój oczy zamknął, jacyś sludzy sprawiedliwości, zajęli dom nasz, powiedziano mi, że ten którego utraciłam, winien był miastu kwotę, wyrównywającą wartości całego jego mienia. Nie rozumiałam tego wszystkiego co mi mówiono dla objaśnienia téj sprawy, wiem tylko że musiałam opuścić mieszkanie, które mój ojciec zajmował. Gdzież miałam pójść zwierzyć się z memi cierpieniami, jak na grób ojca mojego.

Było kilku dobrych ludzi w sąsiedztwie, którzy mi ofjarowali przytułek, ale to byli biedni znajomi nasi, uczciwi rękodzielnicy, którzy zaledwie zarobić mogą na wyżywienie liczněj swojěj rodziny. Nie chciałam być dla nikogo ciężarem, chciałam tylko umrzéć, i dla tego udałam się na cmentarz. Tam, myślałam sobie, prosić będę mojego ojca, aby mi zesłał myśl dobrą, a pomodliwszy się, pójdę za głosem mego serca, czy mi każe żyć, czy też powie mi że nie jest zbrodnią zakończyć życie, doświadczywszy wszystkich nieszczęść jego.

— Marja prawdę mówi, p. Burmistrzu, poszła na cmentarz, jedynie aby się modlić, rzekł żywo stróż nocny; to jest dobra dziewczyna, chciałbym żeby moja kiedyś była taką.

— Wierzę ci dziécię moje; bo widziałem wiele występnych, usiłujących uniewinnić się, ale te nigdy nie mówiły takim tonem czystéj szczerości, który przejmuje duszę moją, najżywszém zajęciem dla ciebie.

— Oh! panie, stokroć więcéj litować się będziesz nademną, kiedy poznasz cały ogrom mego nieszczęścia, mówiła daléj Marja, ale teraz właśnie brak mi słów do wyrażenia tego co się stało po mojém wyjściu z cmentarza.

Krzesla dwóch słuchaczy zbliżyły, się do krzesla Marji. Fritzler i burmistrz ujęli ręce młodéj dziewczyny, jakby dla ośmielenia jéj w mowie. Marja drżała, bardziéj jeszcze niż w chwili kiedy Fritzler okrył ją własnym płaszczem na moście.

— Długo modliłam się, rzekła po chwili milczenia; wiatr świszczał gwałtownie, śnieg okrywał moje ramiona i ręce, ale nie czułam zimna, tak dalece dusza moja pogrążoną była w gorzkich myślach, podniosłam się jeszcze nic nie postanowiwszy, i udałam się drogą ku miastu, a myśl samobójstwa jeszcze mię nie opuściła, doszedłszy do okop, siadłam na kamieniu i zaczęłam płakać i modlić się, wtém usłyszałam z daleka odgłos kroków i jakby śmiechów, zbliżających się coraz... Przestraszyłam się, drżąc odwróciłam oczy ku téj stronie, w któréj słyszałam stąpanie i śmiechy. Cienie których nie mogłam rozróżnić, szybko zbliżały się; chciałam się podnieść, nie miałam siły; chciałam krzyczéć, głosu mi zabrakło. Byłam jakby skamieniała, kiedy osoby których kroki słyszałam, zbliżyły się ku mnie; było ich pięć: trzech młodych mężczyzn i dwie kobiety. Rozmawiali słowami których nie rozumiałam, śmieli się ciągle. Jeden z młodych ludzi

postrzegł mię przystąpił do mnie, oczy jego zbliżyły się do moich, ręka jego dotknęła mego ramienia, usta spoiły się z memi. Chciałam go odepchnąć, ale gwałtownie objął mię rękami. Zemdlałam, słysząc tylko te wyrazy, które mię przerażeniem przejęły: „Dziś przecie i ja mam moją.“

Pan Hartzwald i stróż nocny okazali gwałtowne oburzenie. Zbrodniarze! wykrzyknęli razem. Marja mówiła daléj :

— Teraz, Panie Sędzio, wiesz, czy jestem występną; znasz całą niedolę moją. Jestem sierotą bez przytułku, schańbioną! Skaż mię Pan, na najokropniejsze męczarnie, nic już nie powiększy ogromu moich nieszczęść.

— Nie, moje dziécię! ja będę się tobą opiekował i pomszczę się krzywd twoich. Czy nie mogłabyś mi wymienić jakich okoliczności, któreby mi dopomogły do wyśledzenia nikczemnika, który tak haniebnie z tobą postąpił.

— Nie panie, nie poznałabym, gdybym go nawet zobaczyła. Ciemno było zupełnie gdy się zbliżył do mnie, i ciemno było jeszcze gdy wróciłam do zmysłów z omdlenia, i zaledwie mogłam sobie przypomnić, gdzie jestem i co się ze mną stało.... Potém, nie było już nikogo, przypominam sobie tylko, iż spojrzawszy raz jeszcze w stronę

gdzie znajdowała się mogiła mego ojca, pożegnałam go westchnieniem, i biegłam do miasta, chcąc rzucić się w rzekę z mostu: wtedy ten człowiek zatrzymał mię.

Gdy Marja kończyła swoje opowiadanie, Pan Hartzwald usłyszał lekkie pukanie do drzwi domu: ten szelest przejął go bolesném wzruszeniem; zadzwonił gwałtownie, a Nancy blada i drżąca otworzyła drzwi do sali posłuchalnéj.

— Powiedz memu synowi, że chcę z nim mówić, rzekł Pan Hartzwald surowo.

— Jakto, proszę Pana, o téj porze! on zawsze wcześnie udaje sie na spoczynek.

— A więc, obudź go, rzekł burmistrz, i dodał po cichu, do ucha Nancy: Spiesz się otworzyć mu, bo jeśli go który z stróży nocnych znajdzie przed domem, zatrzyma go jako włóczęgę. Nancy spuściła głowę i odeszła.

— Teraz moje dziécię, rzekł burmistrz, trzeba żebyś spoczęła, jutro zobaczemy się. Ufaj mojéj opiece. — Marja spojrzała na Pana Hartzwald i Frnzlera, jakby zapytując ich: „Gdzież pójdę?“ a poczciwy strażnik wziął ją za rękę i rzekł:

— Będziesz dobrze przyjętą u mnie, Marjo; żona moja jest poczciwą kobietą, nie będzie ci żałowała przytułku i chleba.

Burmistrz ścisnął serdecznie rękę sieroty, powtarzając jeszcze „do jutra!“ a Fritzler i Marja odeszli.

Syn burmistrza szedł po schodach, kiedy stróż nocny i sierota wychodzili z sali posłuchalnéj; Paweł cicho odpowiedział na powitanie Fritzlera. Brzmienie tego głosu poruszyło wszystkie strony duszy Marji.

— Cóż ci to? zapytał Fritzler omało nie upadłaś?

— To nic — odpowiedziała sierota, opierając się na ręcę swego przewodnika; potém dodała cicho: Oh nie, niepodobna, żeby to był ten sam głos.

II.

Dwie sceny.

Pobłażanie dla występku, jest sprzysiężeniem się przeciw cnocie. Barthélemy.

Żadna namiętność bardziej nie przeszkadza rozumowaniu, jak gniew. Nie zbłądziłby, ktoby śmiercią ukarał sędziego, który w gniewie wydał wyrok na winowajcę.

Montaigne.

O ile twarz Pana Hartzwald stawała się słodką i uprzejmą, w miarę jak młoda Marja, postępostępowała w swojém opowiadaniu wypadków tego dnia żałoby, o tyle przybrał wejrzenie surowe i ponure, kiedy inny winowajca zajął krzesło opuszczone przez mniemaną włóczęgę.

Blady bezsennością i rozpustą, z licami zwiędlemi, z oczami wpół zamkniętemi, z włosami w zupełnym nieporządku, takim okazał się Paweł ojcu, który nań czekał w sali posłuchalnéj. Nancy, mamka rozpustnika, oznajmiła urzędnikowi drżącym głosem przybycie jego syna. Radaby była przypuszczoną być na trzecią osobę do sceny która miała się odbyć między starszym i młodszym jéj panem, ale P. Hartzwald tak pewnym głosem kazał jéj oddalić się, iż musiała wyjść nie odważywszy się przemówić ani jednego uniewinniającego słowa za swoim wychowańcem. Młody Hartzwald, pomimo mgły która zasłaniała oczy i zaciemniała pojęcie jego, widział jednak że tego wieczora zabiera się na burzę. W swém nieczułém opojeniu, pochylił głowę aby szturm przeszedł po nad nią, i postanowił sobie, nie odpowiadać na pytania ojca; pewnym będąc, że gniew jego roztrąci się o takie milczenie. Na widok takiego stanu Pawła jaki opisaliśmy, pan Hartzwald uczuł chwilową wściekłość; podniósł mu gwałtownie głowę; ale głupie spojrzenie syna, te usta na pół otwarte, nie mające nawet siły wymówić: Ojcze, to mi

jest przykro; zmieniło nagle gniew p. Harztwald, w uczucie litości dla winnego dziecięcia.

— Twoja matka szczęśliwszą jest ode mnie, bo umarła, nie widziawszy cię w takim stanie.

— Mój ojcze, to pierwszy raz dopiero, wyjąkał Paweł.

— Nie pytałem się ciebie o to kłamstwo, ale ponieważ mówisz nakoniec, żądam abyś mi natychmiast odpowiedział, zkąd idziesz i coś czynił wieczorem.

Głupowaty uśmiech był jedyną odpowiedzią.

Będziesz mówił! krzyknął p. Hartzwald, gwałtownie wstrząsając ręką syna, cóś o téj porze czynił za domem? chcę wiedzieć natychmiast.

— Jeśli się będziesz gniewał, mój ojcze, nie wiem co mam odpowiedzieć, rzekł Paweł opuszczając znowu ociężałą głowę; wreszcie, byłeś także młodym...przyjdzie koléj na każdego...umieram...tak mi się spać chce!..

— Ja czuwałem także aż dotąd, mości panie, aby dowiedzieć się o twoich postępkach; musisz mi odpowiadać, dość długo czekałem... Chcę wiedzieć co cię zatrzymało na mieście o téj porze...kiedy wszyscy uczciwi młodzi ludzie spoczywają w domach.

— Mój ojcze, w moim wieku miewa się przyjaciół... niekiedy zabawić się, to przecież nie zbrodnia. I cóż mam wreście powiedzieć?.. śpię już zupełnie...

— Ja od ośmiu dni bezsenne nocy trawię, od czasu jak dostrzegłem twoje podróże po nocy... Z początku myślałem, że to przypadkiem, zdarzenie które w twoim wieku da się przebaczyć... Sądziłem, że z ufnością przyjdziesz do mnie i rzekniesz: jak to dawniéj czyniłeś: „Mój ojcze, źle zrobiłem, nie gniewaj się. Zamiast tego, twoje nocne wycieczki ponawiają się codziennie. O biada ci! biada! jeśli hańbisz imie twego ojca!

— Bawić się z przyjaciółmi, to nie może szkodzić nikomu.

— Bawić się? czemże możesz się bawić? grą? A więc już zostałeś szulerem!

— Ale nie mój ojcze; w moim wieku są zabawy przyjemniejsze niż karty i butelka. Odpowiedział Paweł, ciągle w bezwładnéj ociężałości.

Na te słowa zbliżył się P. Hartzwałd szybko do krzesła na którém siedział Paweł, usypiając i mrucząc niezrozumiałe wyrazy, i blady z trwogi którą słowa syna w nim obudziły, nachylony nad uchem śpiącego, ciągnął daléj badanie, na

które tamten odpowiadał ciągle niedomawianemi wyrazami. Było to bardzo przykro Pawłowi, że go co chwila przebudzały gniewne zapytania ojca, ale i ten okropnie cierpiał, nie mogąc wydobyć wyznania okropnéj zbrodni, którą przeczuwał, że syn jego spełnił.

— Obudź się mości Panie! krzyknął burmistrz, i powiedz mi, czy nie byłeś tego wieczora w okolicy starego cmentarza.. rozumiesz?

— Paweł otworzył oczy i rzekł: Oni mię tam poprowadzili. Potém broda jego znowu oparła się o piersi.

— A wieluż was było?

— Wielu? powtórzył Paweł...zdaje mi się,, że było nas...

Pan Hartwald napróżno czekał końca téj odpowiedzi: syn jego zasnął. Nielitościwy sędzia, podniół go gwałtownie z krzesła, i zawołał:

— Wstań! nie będziesz spał póki nie dowiem się czystéj prawdy. Wielu was było w pobliskości cmentarza?

— Trzech mój ojcze; Henryk Zahn, Karol Siebler i ja.

— Dobrze! rzekł p. Hartzwald, z przerażającym uśmiechem. A towarzyszki waszéj rozpusty, czy byliście pewni, że je tam znajdziecie?

Oni powiedzieli, że je tam znajdziemy, i w istocie, było ich dwie.

— A ty!... ty!...mówił daléj burmistrz, topiąc w syna twarzy wzrok tak okropny, iż Paweł czuł, że senność opuszcza go i dreszcz przebiegł całe ciało jego.

— Ja? powtórzył drżącym głosem.

— Tak, ty!... ty nie miałeś dla siebie trzeciéj, nie prawda? a potrzebowałeś ją miéć, nikczemny, i nie miałeś litości, nad biedną młodą dziewczyną, która płakała po stracie ojca!.. zbrodnią uwieńczyłeś szereg twojéj rozpusty; a ja, jestem twoim sędzią! i będę musiał skarać cię na los zabójców, ponieważ zasłużyłeś na śmierć.

— Łaski! łaski! wołał Paweł łkając i włócząc się u nóg ojca.

— Łaski! rzekł Pan Hartzwald, czyliż kat będzie cię słuchał, gdy będzie prosił łaski?... Ta młoda dziewczyna do mnie zaniosła oskarżenie przeciw zbrodniarzowi który ją schańbił.... I moje imie w liczbie zbrodniarzy ginących z rąk kata!.. Nie! nieszczęśliwy, nie, nie taką śmiercią umrzesz; nie będziesz miał téj roskoszy, żebyś publicznie okrył niesławą twojego ojca.

To mówiąc p. Hartzwald, którego wściekłość opanowała, porwał ciężki ołowiany kałamarz, i

rzucił go silnie na głowę swego syna. Czaszka nieszęśliwego uderzyła o kamienną podstawkę komina i krew obficie puściła się się z szerokiéj rany.

Na krzyk Pawła, stara Nancy wpadła do sali posłuchalnéj: Zabiłeś pan moje dziecię! rzekła do burmistrza; ale on nic nie odpowiedział; krew uderzyła mu do głowy, zwrócił oczy na swoję ofiarę; twarz jego zbladła nagle, nogi zachwiały się, i upadł bez ruchu w swoje wielkie krzesło.

. . . . , ... , .

. . . .

Gdy tak smutna scena odbywała się w domu burmistrza, Fritzler i Marja doszli do starego przedmieścia, gdzie było mieszkanie nocnego stróża. Na lekki odgłos jego grzechotki, drzwi domu otworzyły się.

— Dobry wieczór Pani matko, rzekł do pięćdziesięcioletniéj kobiety, która wzięła od niego latarnią; przygotujcie posłanie dla tego biednego dziecięcia, które potrzebuje spoczynku. Przyprowadzam ją tu na rozkaz pana burmistrza, a więc nie powinniście się niczego obawiać.

— Witam ją serdecznie: rzekła pani Lohrman, matka żony Fritzlera; moje łóżko może jéj służyć na tę noc, bo ja zostanę przy mojéj córce; pójdź moje dziecię, pokażę ci mój pokój. Marja podziękowawszy czule Fritzlerowi, udała się za panią Lohrman do komórki pod strychem, która jéj służyła za pokój.

— Ta maleńka ma bardzo przyjemną minę, ale musi miéć ciężkie zmartwienia, bo płakała bardzo rozbierając się.

— Ach, bo jest nieszczęśliwą, i bardzo nieszczęśliwą! Tu Fritzler zaczął opowiadać oburzającą historję Marji, a pani Lohrman słuchała go z najżywszém uczuciem, przerywając mu tylko wykrzyknikami: „Mój Boże! święty panie! ach, miłosierne nieba!... Ale kiedy stróż nocny, objawił zamiar zatrzymania w swoim domu Marji, aby pomagała w gospodarstwie żonie jego, twarz teściowéj zmieniła się od razu, czoło jéj zmarszczyło się usta się ściągnęły i odpowiedziała:

— To znaczy, że nas tu jeszcze niedość do zjadania tego co zarabiacie, albo też, że ja już nie zdam się do niczego.

— Nie to chciałem powiedziéć, matko; ale biedna dziewczyna jest bez przytułku, i doprawdy

serce pęka pomyślawszy, że jeżli jéj nie zatrzymam tutaj, nie będzie wiedziała gdzie jutro pójść na nocleg.

— Niech pan burmistrz który nią się tak zajmuje, weźmie ją do swoich usług, jemu łatwiéj nakarmić jedno więcéj.

— Posluchajcie matko, rzekł stróż nocny, pomówiemy o tém z Małgorzatą, a jeśli ona nie zechce, wtedy nie będę się jéj sprzeciwiał.

— Małgorzata jest łagodną jak baranek i powie tak jak ty zechcesz, aby się tobie nie sprzeciwiać, a tym czasem skrycie bardzo będzie na tém cierpiéć.

— Cierpieć? marzy się wam matko Lohrman.

— Nie tak bardzo jak się wam zdaje mój zięciu, wiem, że jest łatwą do zazdrości, i sądzisz, że nie będzie się martwić widząc w swoim domu młodą dziewczynę, którą zatrzymujesz bez żadnego powodu,

— Bez powodu! no proszę, ona jest tak nieszczęśliwą.

— Jest bardzo nieszczęśliwą, nie przeczę, ale my nie jesteśmy w stanie wspomagać wszystkich nieszczęśliwych. Wreszcie jeżeli chcesz być

koniecznie tyle wspaniałomyślnym, ponieważ nie ma miejsca dla jednéj jeszcze osoby, zatém ja ustąpię, tém bardziéj, że nie mogłabym patrzéć z zimną krwią na cierpienia mojéj córki, która będzie się gryzła podejrzeniami i zazdrością.

— Skończyliście? zapytał Fritzler niecierpliwie.

— Otóż już się zaczyna, każą mi milczéć, późniéj każą mi pójść precz. Ale dzięki Bogu nie będę na to czekała, i gdyby córka moja nie była słabą, poszłabym natychmiast. Słusznie jest żeby krewni ustępowali obcym. To tak korzystnie wyświadczać usługi młodym dziewczętom! a matka, to mała rzecz; doprawdy dziwię się żeście mnie dotychczas nie wypędzili. Zabierało się na żywą kłótnię, kiedy Fritzler przypomniał sobie że ta sprzeczka mogłaby zbudzić jego żonę i dziecię, wstał więc nagle, wziął latarnię i poszedł kończyć swoją nocną podróż, bo dzień jeszcze się nie pokazywał. Ale wychodząc, zamiast powiedziéć jak to zwykle czynił swojéj teściowéj dobranoc, stróż nocny oddalił

się rzekłszy tylko: Zobaczemy kto z nas jest panem domu,—i odszedł w złym humorze.

Kiedy chodził po ulicach obwołując godzinę, chłodne poranne powietrze uspokoiło jego zły humor, obudzony sprzeczką z matką jego żony. Przypomniał sobie, że istotnie Małgorzata wielce była skłonną do zazdrości, ta smutna słabość czyniła ją tém bardziéj nieszczęśliwą, że kryła przed nim łzy swoje, i w milczeniu karmiła podejrzenia powstające w jéj sercu. Kilka razy już, znalazł ją płaczącą, a nie chciała mu wyjawić przyczyny łez swoich, i gdyby nie badawcze oko pani Lohrman, Fritzler nie byłby nigdy domyślił się, że Małgorzata płakała dla tego iż on poufale przywitał się z tą lub ową dziewczyną z sąsiedztwa. Istotnie, rzekł, nie powinienem sprawiać przykrości matce mego dziecięcia i ponieważ pan burmistrz zajmuje się tyle tą biedną dziewczyną, lepiéj i dla niéj będzie, jeśli on weźmie ją w swoją opiekę, tam przynajmniéj matka mojéj żony nie będzie jéj dokuczać... Tak, to będzie najlepiéj, około południa pójdę do p. burmistrza, i powiem mu, że nie mam w domu miéjsca aby dać przytułek Ma ji Schroning.

Tak sobie mówił ten poczciwy człowiek. Pomyślał, że to postanowienie daleko korzystniéjsze jest dla młodéj dziewczyny, jak poprzednia myśl jego, zatrzymania jéj u siebie. Każdy ma swoje zgryzoty, bogatym łatwiéj jest wspomagać cierpiących, jak takim jak ja biedakom.

Milczenie nocy ustąpiło swéj władzy nad miastem; okiennice zaczęły się otwierać, drzwi skrzypiały na zawiasach, w kuźniach rozpalono ogień, odgłos rękodzieł mieszał się z ostatniemi głosami stróży nocnych wracających do domów; mieszkańcy Norymbergi ubrali się w suknie powszednie, bramy miasta otwarły się dla ogrodników przywożących na targ jarzyny, już był dzień wielki kiedy Fritzler wrócił do domu.

Najpierwéj poszedł uściskać Małgorzatę, która już nie spała; i trzymała w objęciu maleńką Teresę.

Pani Lohman siedziała obok córki i zdawała się mówić z uniesieniem. Za wejściem zięcia, zamilkła. Fritzler popieścił się z dziecięciem, potém widząc że twarz jego żony, więcéj jest zarumieniona jak zwykle, rzekł: Widzę Małgosiu, że wiesz już, iż ktoś u nas noc przepędził... Niech cię nie niepokoi ten przybytek; twoja matka dawała mi rozsądne uwagi w tym względzie;

dziś przed południem odprowadzę tę dziewczynę do p. Burmistrza.

Twarz Małgorzaty, kiedy Fritzler zaczął mówić, wyrażała, że nie będzie się użalać, ale kiedy objawił swoje nowe postanowienie, najżywsza radość błysnęłą w oczach młodéj małżonki, położyła dziécię na poduszce obok siebie, i wyciągnęła ręce do męża, aby czułém pocałowaniem podziękować mu za to, że tak uprzedza jéj życzenia. Pani Lohrman była tryumfującą, nie dla tego, aby miała złe serce, ale myśl, że obca osoba ma być w ich domu, rodzierała jéj duszę. Chętnie odjęłaby sobie wygódy, aby wspomódz przechodzącego biedaka; ale nie mogła znieść téj myśli, żeby kto miał się wmieszać w dom jéj zięcia, którym zarządzała z nieograniczoną władzą.

Jeszcze nie upłynęło pół godziny, jak Fritzler powrócił do domu, kiedy Marja zeszła do izby na dole. Po jéj czerwonych i nabrzmiałych powiekach, po wyrazie twarzy, łatwo można było poznać, że biedna dziewczyna znaczną część nocy we łzach strawiła. Rodzina Fritzlera, przyjęła ją z wyrazem najtkliwszego zajęcia a Marja pomyślała sobie: Och! jak mi tu dobrze będzie! Ale

uprzejmość matki Małgorzaty z tego źródła pochodziła, iż wiedziała, że Marja wkrótce ma się oddalić. Postawiono stół przy łóżku choréj, i pod czas śniadania, które wypytywania się dwóch kobiét przedłużyły bardziéj niż zwykle, Marja była przedmiotem uprzejmości wszystkich współbiesiadników. Doprawdy pomyślała sobie, Bóg spojrzał na mnie litościwie, ponieważ znalazłam nakoniec zacnych przyjaciół.

Wreszcie śniadanie skończyło się. No moja mała, rzekła pani Lohrman, nie chcemy cię dłużéj zatrzymywać. Pan burmistrz wstał już zapewne, Fritzler zaprowadzi cię niego. Spodziewam się, że pan Hartzwald będzie dla ciebie dobrym opiekunem. Niech cię uściskam moje dziécię. Przyjdźże nas kiedy odwiédzić.

Marja spoglądała naprzemian z podziwieniem na Fritzlera, Małgorzatę i tę, która do niéj mówiła; nie pojmowała dla czego mówiono jéj o odejściu. Stróż nocny był prawie tyle co ona zmieszany. Nakoniec młoda dziewica, zapytała z zwykłą naiwnością:

— A więc to nie tu mam mieszkać?

— Nie moje dziécię — odpowiedział Fritzler, nasz stan nie pozwala nam uczynić dla ciebie to

wszystko, cobyśmy chcieli, pan Hartzwald zajmie się twoim losem.

— To szkoda, odpowiedziała Marja, bo wy bylibyście dla mnie dobrzy, pewna tego jestem... ale...

Westchnęła—uścisnęła z poddaniem się losowi panią Fritzler, jéj matkę i maleńką Teresę, która leżała na poduszcze, i stanęła, gotowa pójść za Fritzlerem.

Nowe nieszczęście czekało ją w domu burmistrza, Mnogi tłum przyjaciół i sąsiadów tłoczył się w tę i w ową stronę, ci wchodzili, drudzy wychodzili, pod oknami stały gromadki rozmawiających, a wyraz: „apoplexja," przechodził z ust do ust. Fritzler myślał z razu, że to idzie o jakiś smutny wypadek w sąsiedztwie, o którym doniesiono burmistrzowi, sądził, że ci wszyscy których widział wchodzących do domu burmistrza i wychodzących z niego, są świadkami powołanemi w jakiejś sprawie bardzo ważnéj, która zajmuje wszystkie umysły. Zaczekajmy w przedpokoju, póki p. Hartzwald nie skończy z temi panami, rzekł do Marji, a jak będzie sam, pomówię z nim o tobie moja maleńka. Wszedł więc z Marją po wschodach i chciał usiąść w przedpokoju, przy wnijściu do sali posłuchalnéj, ale

drzwi do téj sali były otwarte, i liczni goście wchodzili bez anonsowania, wychodzili z boleścią i przerażeniem w twarzy, Fritzler, który chciał dowiedzieć się jaki powód zgromadza tyle odwiedzająch, zostawił Marję na chwilę w pierwszym pokoju i wszedł daléj. Wtedy dopiero dowiedział się, iż znajomi i sąsiedzi, przychodzą ostatni raz zobaczyć zwłoki nieboszczyka burmistrza, pan Hartzwald, przerażony widokiem syna upadającego przed ciosem ciężkiego kałamarza, jego ręką rzuconego, nie podniósł się już z swego sądowego krzesła, a jego oczy krwią nabrzmiałe, usta ściśnięte, czoło zsiniałe, wyraźnie mówiły, jaką śmiercią umarł.

Kiedy Fritzler wrócił do przedpokoju, chcąc opowiedzieć Marji co się stało, młodéj sieroty już tam nie było. Jedno słowo, które ktoś przechodząc około niéj powiedział, odkryło jéj całą niedolę; nie miała znowu nikogo, ktoby chciał nią opiekować się, pobiegła więc ku rzece.

III.

Jan Kurse
TERMINATOR.

Od gałązki odtrącony,
Biedny listku suchy,
Gdzie lecisz wiatrem niesiony?
— Nie wiem! Arnault.

Gdybyśmy nie doświadczali boleści, ranilibyśmy się co chwila, nie wiedząc o tém; gdyby nie boleść, nie znalibyśmy roskoszy: boleść zatém, równie była potrzebną jak śmierć.

Voltaire.

Szła, szła; i, w szybkim biegu nie słyszała głosu, który ją wołał od kilku chwil. Nie odwróciła się do tego, który biegł za nią, przez wszystkie

zakręty które przebiegała młoda dziewczyna, aby dojść do mostu na rzece Peignitz. Nakoniec miała już stąpić na pierwsze deski mostu, kiedy młody człowiek, podwoiwszy kroku, aby ją doścignąć, uchwycił ją za ramie, i półgłosem wymawiając jéj imie, zatrzymał. Podniosła oczy ku niemu i zawstydziła się poznawszy go.

— Jan Kurse! rzekła.

— Tak, Marjo; jakże ucieszony jestem że cię nakoniec znalazłem! Wiesz, że od wczoraj bardzo cierpiałem, nie wiedząc co się z tobą stało?... Gdzieś szłaś tak prędko?

Marja zarumieniła się, zapłakała. Jan ujął jéj rękę; nie mniéj był wzruszonym jak ona. Słabszym głosem powtórzył to samo zapytanie. Biedna sierota pokazała na rzekę.

— Oh! rzekł Jan, Marjo, ty tyle wierzysz w Boga, że nie uczyniłabyś tego.

— A cóż chcesz żebym czyniła? wszakże nie mam już nikogo na świecie, ktoby się ulitował nademną!

— Masz przynajmniéj kogoś, którego śmierć twoja uczyniłaby bardzo nieszczęśliwym.

— Nie mówmy już o tém mój biedny przyjacielu, nie mówmy o tém. Zresztą, w twojém położeniu, nie możesz nic dla mnie uczynić.

— Mogę podzielić się z tobą chlebem, który mi majster daje; i dopóki Jan Kurse mieć go będzie, dopóty Marja nie położy się spać bez wieczerzy.

— Znam twoje dobre serce; nie wątpię o przyjaźni, bo ty snu sobie odmawiałeś, aby mi pomagać w pielęgnowaniu chorego ojca.

— Dobrze więc! za całą nagrodę tych małych starań, które poświęciłem nieboszczykowi, błagam cię Marjo, nie umieraj; żyj, abyśmy mogli w dniu, w którym mój pan powie mi. „jesteś wolny,“ dopełnić zamiaru, który był zawsze celem naszéj rozmowy.

— Nie mówiłbyś tego, Janie, gdybyś znał cały ogrom mojego nieszczęścia!

— Jakto, czyliż go nie znam? nie byłżem przy tobie kiedy sludzy sądowi przyszli zagrabić dom twego ojca? Chciałem rzucić się na nich, chciałem gwałtem zwrócić cię do twego mieszkania, ale mój pan i dwaj moi współkoledzy zatrzymali mię. Więcéj ci powiem, zamknęli mię, abym

nie pobiegł za tobą. Wybiłem szybę i wyskoczyłem przez okno.... z pierwszego piętra, ale to nic... szukałem cię u wszystkich twoich znajomych, wszędzie, gdzie mogłem domyśléć się że jesteś, ale nikt nie umiał mi powiedziéć gdzie cię znajdę. O dziesiątéj wieczorem, jeszcze chodziłem po mieście; przeszedłem koło starego cmetarza, jakbym mógł się spodziewać, że cię tam spotkam.

– Koło cmetarza! zawołała Marja, ach, Bóg zaprowadził cię w tamtą stronę! Ale,... Oh, czemuż nie wszedłeś tam! Nie byłabym dziś shańbioną!

— Shańbioną!... Marjo co chcesz przez to rozumiéć? zapytał terminator, patrząc na nią z podziwieniem.

— Marja wachała się przez chwilę; spojrzała wokoło siebie. Znajdowali się w miejscu odległém od ruchu miasta; ulica była pusta.

— Dobrze więc, rzekła po chwili milczenia, prędzéj czy późniéj powinieneś dowiedziéć się prawdy, ja sama powinnam odkryć ci moją hańbę, nieszczęście moje nie będzie już przez to większém. Usiadła na kamieniu, Jan usiadł przy niéj; i tam z szczerością, z jaką opowiedziała swoją niedolę burmistrzowi, Marja, powtórzyła wszystkie

szczegóły wypadku, który nam już jest wiadomy. Powiedziała mu także, jak gorzko nadzieje jéj zostały zawiedzione, kiedy już spodziewała się, że znajdzie przytułek u nocnego stróża, i o niespodzianéj śmierci p. Hartzwald. Skończywszy, spojrzała smutnie na Jana Kurse. „Jakże, zaczęła znowu, chceszże abym po tém wszystkiém żyła jeszcze? Powiedz, mogęż być kiedy czyjąkolwiek żoną? Nie jestżem przeznaczoną umrzéć nieszczęśliwą, wzgardzoną, a jednak o mój Boże! nie jestem winną!

Nazywamy Jana Kurse terminatorem, i mógłby kto myśléć, że to był chłopiec czternasto lub pietnastoletni; rzecz się miała zupełnie inaczéj. Jan mógł mieć około lat dwudziestu pięciu; był to rosły i barczysty młodzieniec, który już od ośmiu lat skończył swoję naukę, jako stolarz, w znacznéj fabryce mebli, a jednak miał zostać jeszcze przez ośm miesięcy u swego pana, bezpłatnie, chociaż już oddawna był czeladnikiem.

Dwadzieścia lat minęło, od chwili w któréj miały miejsce opisane przez nas powyżéj wypadki, Piotr Kurse, ojciec Jana, pożyczył dość znaczną summę od bogatego kupca mebli, imieniem Redsburg. Od dawna łączyła tych dwóch ludzi ścisła przyjaźń. Ostatni, nie wymagał żadnéj rękojmi na

summę pożyczoną, tyle był pewnym rzetelności swego przyjaciela. Piotr Kurse, miał mu zapłacić z funduszów, które nieochybnie powinien był mieć, po najbliższym jarmarku. Drukarnia jego była ciągle w ruchu, a pieniądze stolarza, bardziéj ją jeszcze ożywiły. Jednakże nadzieja drukarza została zawiedzioną: nadeszła pora wypłaty, a zamiast korzyści jakich się spodziewał, dowiedział się o bankructwie kilku domów handlowych, z któremi miał bardzo rozgałęzione stosunki, i ujrzał się nagle zupełnie zniszczonym. Zmartwienie podkopało zdrowie jego, i umarł, nie zapłaciwszy długu tém świętszego, że przyjaciel jego także znalazł się w krytyczném cokolwiek położeniu, a nie miał nawet kilku słów na piśmie, mogących mu służyć do ściągnięcia swojéj należności z pozostałości nieszczęśliwego drukarza. Jan Kurse był jeszcze za młody, żeby mógł zrozumiéć, ile cierpiał ojciec jego umierając, ale późniéj dowiedział się, jakie miał stosunki jego nieboszczyk ojciec, z kupcem mebli. Było to właśnie około tego czasu, kiedy mu się kończyły lata nauki; bo zacny stolarz, nie zważając na poniesioną stratę, wziął do siebie syna pozostałego po biédnym jego przyjacielu, aby go żywić i dać mu nadal sposób do

życia. Jan, jak powiedzieliśmy miał wyzwolić się, kiedy przypadkiemy dosłyszane kilka słów które mówił jego majster, przypomniały mu stratę, jaką tenże poniósł niegdyś, uczyniwszy przysługę jego ojcu. Jan który odziedziczył rzetelność swego ojca, ofiarował się zapłacić dług jego; pan Redsburg uśmiechnął się na to oświadczenie, i dowodził mu, że to jest niepodobném.

— „Gdybyś oddawał cały zarobek dzienny, potrzebaby wielu lat do spłacenia tak znacznéj summy; a prócz tego, ojciec twój nic mi nie jest winien w oczach prawa, ponieważ nie mam na tę pożyczkę żadnego rewersu.—Słowa te do żywego dotknęły uczucie dumy młodego Kurse, odpowiedział niezachwianym głosem: — „Choćby dwadzieścia, i trzydzieści lat potrzeba było, będę póty pracował bezpłatnie, póki nie odrobię długu mego ojca i nie otrzymam od pana pokwitowania.“

Zrazu, majster jego myślał, że to jest tylko upór dziecinny; ale gdy nadszedł dzień w którym p. Redsburg rzekł do niego: „Jesteś od dnia dzisiejszego czeladnikiem,“ młody Kurse odpowiedział mu: „W takim przypadku, chciéj mię pan uwolnić, abym mógł u innego majstra

pracować na zapłacenie długu mego ojca; będę panu co tydzień przynosił zarobione pieniądze.“ Wtedy dopiero Redsburg przekonał się, że postanowienie Jana było niezachwiane, i że przynajmniéj usiłować będzie zapłacić dług rodzinny.

— Kiedy tak, pozwól mi niech obliczę, ile lat potrzebowałbyś aby się uiścić.

Tego samego wieczora p. Redsburg przedstawił Janowi następujący układ:

„Podpisany, zeznaję, że winien jestem panu Redsburg summę wyrównywającą dziewięcio letniéj pracy, licząc po złotemu za dzień, i obowiązuję się pracować od dnia dzisiejszego jak przystoi na uczciwego czeladnika, dla otrzymania po upływie tych lat dziewięciu, pokwitowania z wzmiankowanego długu; przy wzajemném zobowiązaniu się ze strony p. Redsburg, iż przez ten przeciąg czasu, dawać mi będzie stół i zamieszkanie jak przez czas nauki.“

Układ ten został podpisany przez Jana Kurse. Uważał się ciągle za ucznia, i dla tego nosił jeszcze to nazwanie wchwili, o któréj teraz mówiemy.

Co do stosunków jego z Marją, łatwo je wytłómaczyć. Dom stolarza Redsburg, dotykał do

domu nieboszczyka Schroning. Jan i młoda Marja widywali się codziennie od dzieciństwa. Jan należał prawie do rodziny Marji, bo nie było żadnéj zabawy przyjacielskiéj u jednego lub drugiego z sąsiadów, żeby Jan do niéj nie należał, a kiedy ojciec młodéj dziewicy ciężko zachorował, kiedy biedna Marja musiała czuwać przy umierającym, Jan wyręczał ją, kiedy tylko był wolnym na chwilę, w pilnowaniu starca, albo wypełnianiu niektórych interesów za domem. Tym sposobem czuła ich skłonność nie miała właściwego początku, dziecinna przyjaźń rozwinęła się tylko z latami, i przybrała czulszą barwę. Gdyby nie to przypadkowe sąsiedztwo, Marja pewno nie byłaby znalazła kochanka, bo któżby przyszedł szukać jéj w tym smutnym domu, a biédna dziecina wychodziła tak rzadko, iż zaledwie trafiła do cmentarza, kiedy wygnana z domu rodzicielskiego, poszła zapytać ojca na grobie jego, czy ma umrzéć.

-- Jest to okropne nieszczęście, rzekł młodzieniec, kiedy Marja przestała mówić; i gdyby niebo pozwoliło mi spotkać kiedy tego zbrodniarza, który tak nikczemnie nadużył przewagi, jaką mu siła i twoje omdlenie nadało, przysięgam ci, że zamordowałbym go niechybnie.... Ale nie

rozpaczaj tak, Marjo; nie jesteś winną, a ja byłbym bardzo nieszczęśliwym, gdybym chciał zrywać nasze układy. Zawsze w moich oczach będziesz, dobrą, cierpliwą Marją i ponieważ nikt nie przestanie cię szanować pomimo tego co pan Bóg dopuścił, a więc przyrzekam ci że za ośm miesięcy nazywać się będziesz panią Kurse, wierz mi, że zmieniwszy nazwisko przestaniesz zupełnie być nieszczęśliwą.

Więcéj było litości niż szczerości w słowach Jana Kurse; nie wyjawił on Marji uczuć wstydu i niepojętéj jakiejś przykrości, które obudziło w nim jéj wyznanie; a młoda dziewczyna, która nigdy nie przekonała się, żeby on skłamał, tak dalece uwierzyła słowom jego, iż promień radości i uśmiech szczęścia wydobyły się przez czarną pokrywę smutku, który wyrażało jéj oblicze.

— Janie, odpowiedziała, oddaje się tobie zupełnie; pójdę gdzie tylko zechcesz mię poprowadzić; czynić będę co każesz, ty sam tylko będziesz moim przewodnikiem, moim doradcą, ponieważ chcesz abym żyła.

Jan, namyśliwszy się przez chwilę, wziął Marję za rękę i rzekł: — Pójdź wynalazłem dla ciebie schronienie.

Zrazu Marja mniemała, że jéj narzeczony poprowadzi ją do swego majstra, ta nadzieja uspokoiła ją nieco; szła nie znając drogi, ale wkrótce poznała że się myliła, kiedy młody stolarczyk przeszedłszy z nią dwie lub trzy ulice, których nie znała, wprowadził ją w ciasną uliczkę, któréj przeciwny koniec nie miał wyjścia; dwa czarniawe mury gdzie niegdzie opatrzone drzwiami, nędzne okienka o kilka sążni od ziemi, nadawały téj uliczce pozór podwórza więziennego. Jan zatrzymał się przed jednemi drzwiami, pociągnął brudny sznur mający związek z zasuwką znajdującą się wewnątrz, drzwi się otworzyły, i Marja ujrzała schody, grubéj roboty; wstąpiła na nie za swoim przewodnikiem, który nakoniec silnie zapukał do jedynych drzwi, u kresu schodów. Krzyki dziecinne, odpowiedziały naprzód, następnie młoda kobieta, któréj ubranie okazywało najwyższą nędzę, otworzyła nowo przybyłym.

— Anno, rzekł wchodząc Jan Kurse, przyprowadzam ci twoję dawną znajomą.

Ta do któréj zwracał mowę młody stolarczyk, patrzyła na Marję nie wydając w rysach swéj

twarzy, ani radości, ani nieukontentowania; odpowiedziała tylko: — Ah, tak, Marja Schroning!

— Która będzie mieszkać z tobą Anno. Będziecie obie pracowały; będę wam przynosił robotę jak to dotychczas tobie czyniłem.

— Dobrze, jak chcecie, odpowiedziała Anna.

— Marja jest bardzo dobra, ona także będzie pielęgnować twoje dzieci.

— Moje dzieci, zawołała młoda kobieta, przyciągając je do siebie, jak gdyby chciała ukryć je pod podartą chustką która była zawieszoną na jéj szyi; oh, nie, to do mnie tylko należy.

— Uważajże Anno, to jest Marja, córka sąsiada twego dawnego pana, p. Redsburg; będzie mieszkać z tobą, ponieważ nie ma już domu, bo jéj ojciec umarł.

— I Niel także umarł; i biedne dzieci Anny, nie mają także ojca.

Obłąkana zaczęła łkać.

Marja podczas tego wszystkiego ciągle zachowywała milczenie; usiłowała wynaleść w rysach zwiędłych biednéj obłąkanéj, owe żywe i wesołe wejrzenie, młodéj, przyjemnéj Anny, która przed trzema laty, znana była w okręgu gdzie

mieszkał ojciec Marji, pod nazwiskiem śmiejącéj się blondynki. Słyszała ona kilkakrotnie o nieszczęściu dawnéj służącéj pana Redsburg, ale daleką była od wyobrażenia sobie, żeby najokropniéjsze cierpienia, mogły tak strasznie zmienić twarz niegdyś tak piękną, tak świeżą, i tak wesołą, jak była dawniéj twarz Anny, a szczególniéj kiedy oddaliła się od swego pana, zaślubiając Niela który był bardzo zręcznym kamieniarzem. Jest to prawie pociechą dla nieszczęśliwego, znaleść nieszczęśliwszą jeszcze istotę; nie dla tego żeby smutek czynił serce złośliwém, ale ponieważ mówiemy sobie: „Ten przynajmniej zrozumie łzy moje, i będzie płakał wraz zemną."

Boleść Anny szybko przeszła; zdawało się, że już nieprzypomina sobie gwałtownego powodu swego smutku; bo równie prędko przestając płakać, jak prędko puściła wodze żalowi, zaczęła nucić wesołą piosnkę, aby ukoić krzyki młodszego z dwojga jéj dzieci.

— Otóż to tak dobrze, rzekł Jan Kurse, widząc, że Anna uspokoiła się; będziecie tu mieszkały we dwie, jeszcze przez czas niejaki, a potém jak będę mógł użyć zarobionych pieniędzy,

postaram się żeby wam było lepiéj. Ale już późno, nie jestem panem mego czasu; do widzenia dziś w wieczór, może wam będę mógł co przynieść.

Jan Kurse odszedł, a dwie kobiéty zostały same wpośród nędznéj komórki.

Anna jak już wiemy, poszła za kamieniarza nazwiskiem Niel; było to jedno z zwyczajnych w niższéj klassie małżeństw: nie wiele tam bywa miłości, ale uczciwość żony, i chęć do pracy męża, czynią podobne związki szczęśliwemi. Po sześciu miesięcach małżeństwa, małżonkowie stali się kochankami; czysto umeblowany pokoik, srebrny zegarek w kamizelce męża, a złoty łańcuszek na szyi pani Niel, dowodziły, że rządność i pracowitość panowały w ich mieszkaniu, a dwoje dzieci, urodzone w dziesięć miesięcy jedno po drugiém, podwoiły szczęście ich pożycia. Była to prawdziwa roskosz, widziéć tę młodą parę idącą na przechadzkę w dzień świąteczny, z dwojgiem dzieci, które zwykle Niel niosł dumnie na ręku, a Anna idąc za nim pieściła się z maleńkiemi, kryjącemi się figlarnie za ojca. Wszystko zdawało się przepowiadać długie szczęśliwe pożycie dwojga małżonków. Niel miał podo-

statkiem roboty, i już nawet najmował pomocników kiedy sam zamówionych przedmiotów nie mógł na czas wykończyć. Pewnego dnia udał się z przygotowanemi gzémsami, które miał wmurować pod samym dachem nowo budującego się domu. O godzinie dziesiątéj, Anna prowadząc dwoje dzieci, które już zaczynały chodzić, poszła powiedzieć mężowi, że już wybiła godzina śniadania. Niel z szczytu drabiny woła że zaraz zejdzie, wtém pośliznęła mu się noga, spadł i na miejscu pozostał bez życia. Anna krzyknęła: patrzy na męża osłupiałym wzrokiem, rozum jéj miesza się, i od tego okropnego dnia, pozostał jéj ten wzrok obłąkany, i niepewna jéj pamięć, niekiedy tylko przypomina jéj stratę którą poniosła. Nieczuła na zimno, głód, na wszystko co kto do niéj mówi, jedno tylko ma uczucie które wszystkie inne przeżyło: miłość macierzyńską.

Praca Niela, stanowiła dostatek w jego domu; od śmierci jego zwolna niedostatek strawił srebrny zegarek, złoty łańcuszek i meble. Z jednéj stancyjki przenosząc się co raz do drugiéj, doszła nakoniec Anna, do téj nędznéj komórki którą jéj bezpłatnie pozwolił zamieszkać wła-

ściciel domku, a kilka dobroczynnych osób, pomaga jéj żyć, płacąc trzy razy więcéj nad wartość, za szycie, które jéj bardzo zwolna idzie, i to wtedy kiedy może sobie przypomnieć, jak trzeba trzymać igłę.

IV.

Biedne Kobiety.

Ubóstwo, przeciwko któremu tak jesteśmy uprzedzonemi, nie jest takiém jakiém je sobie wystawiamy: czyni ono ludzi więcéj umiarkowanemi, pracowitszemi, skromniejszemi; utrzymuje ich w niewinności, bez któréj nie ma prawdziwéj spokojności ani szczęścia na ziemi.

Vauvenargues.

Ubóstwo jest największém złém, że wszystkich które wyszły na świat z puszki Pandory, i tyle nienawidziemy oddech nędzarza, jak oddech dotkniętego morem.

Saint-Évremont.

Jak przyobiecał, Jan Kurse przyszedł wieczorem odwiedzić dwie mieszkanki nędznéj komory. Przyniósł on ciężki kosz przykryty białą serwetą; postawił swój ciężar na starym stole dębowym,

i rzekł z miną tak wesołą jak tylko mógł, bo serce jego na widok Marji, doznawało szczególnego uczucia. Daléj, do stołu; schowałem mój apetyt z obiadu, aby z wami lepiéj wieczerzać. To mówiąc rozłożył na stole serwetę i wydobył z kosza, naprzód nieco owoców, następnie ser krajowy, kawał szynki i pół bochenka chleba. Podwójny krzyk radości, który wydały razem dzieci Anny, na widok tak obfitéj uczty, ocucił obłąkaną z jéj zwyczajnéj nieczułości; i podczas gdy Marja pomagała młodemu stolarczykowi, do wyszukania dwóch złamanych noży, Anna, cała zajęta swemi głodnemi malcami, napełniała ich ręce wyciągnięte do stołu, owocami, serem i szynką.

— No, jakże Marjo, dobrze ci tutaj? zapytał Jan.

— Lepiéj niż się zrazu spodziewałam. Sądziłam z początku, że Anna niedługo zechce mię u siebie trzymać, bo zaledwie wyszedłeś, uciekła z dziećmi w najciemniéjszy kąt téj komnaty; siedziała tam ze dwie godzin, nie chcąc nic mówić ze mną; i przyznam ci się, jeśli moja obecność napełniała ją trwogą, ja z mojéj strony lękałam

się jéj milczenia; nakoniec odważyłam się wymówić imie Niela, i na to imie, Anna odwróciła się ku mnie i rzekła wskazując starszego swego syna: „Niel, to on!“ Zbliżyłam się wtedy do dziecięcia, zaczęłam się z niém pieścić; chwycił się mojéj sukni, jakby chciał wdrapać się na moje kolana. Anna widząc to, pomogła mu i od téj chwili jesteśmy najlepszemi przyjaciołkami.

— Tak, moja biédna Marjo, kochaj dzieci Anny, a ona będzie cię kochała. Ja to wiem i dla tego ile razy przychodzę tu, zawsze przynoszę coś dla malców.

— Nakoniec ujrzawszy iż znalazłam sposób zyskania jéj ufności, opowiedziałam jéj moje nieszczęścia; słuchała mię spokojnie, ale nic nie rozumiała, jestem prawie pewną, bo co chwila zaczynała śpiewać jakąś piosnkę, a gdym skończyła, zapytała mię: „No, a potém co?“

— No, nie zaczynaj znowu płakać, Marjo, wszakże czynię wszystko co mogę aby cię uspokoić względem przyszłości. Moje lata zobowiązania zbliżają się do końca,... tyle ci tylko powiem.

Podczas wieczerzy, któréj Marja zaledwie dotknęła. a Anna pożerała w milczeniu, nie przerywając sobie, chyba dla odpowiedzenia dzieciom,

które ciągle miały się o co pytać, Jan opowiedział Marji jakie pogłoski biegają po mieście względem śmierci p. Hartzwald. Sądzono powszechnie, że burmistrz tknięty został apoplexją, i że syn jego skaleczył się padłszy bez zmysłów na widok śmierci ojca. Paweł Hartzwald nie mógł jeszcze zaprzeczyć tym pogłoskom, rana bowiem jego zbyt była ciężką, lekarz nie pozwolił mu mówić, a kiedy w gorączce powtarzał: „mój ojciec! mój ojciec!“ to potwierdzało jeszcze powszechne domysły.

Kiedy dziewiąta wybiła, Jan Kurse wstał od stołu, zostawił swoim klientkom nieco bielizny, którą miały naprawić, a którą zebrał między znajomemi swego pana i przyrzekł że przyjdzie jutro wieczorem, dowiedzieć się, czy nie brak czego mieszkankom ulicy węglarskiéj: tak bowiem nazywał się zaułek w którym teraz mieszkała Marja.

Co wieczór, ukończywszy robotę, Jan Kurse odwiedzał Marję. Pod pozorem wieczerzania razem, opatrywał ciągle małe ich gospodarstwo. Jan nie zarabiał nic u swego majstra, ale ilekroć miał jaką robotę w mieście, albo odnosił mebel kupiony u pana Redsburg, dostał zawsze cokolwiek za drogę; te małe dochody, których dawniéj używał na swoje potrzeby dzielił teraz

między siebie i Marją. Ona uważając, że mniéj jéj płacono za robotę kiedy ją sama odnosiła, niż kiedy się tego podjął jéj narzeczony, dociekła bez trudności, że Jan sobie ujmuje dla niéj. Pewnego dnia, rzekła do niego, z sercem przepełnioném wdzięcznością: „Janie, nie chcę żebyś sobie ujmował dla mnie,“ ale on skłonił ją do milczenia, przypominając jéj, iż przyrzekła mu zupełne posłuszeństwo. Marja zachwycona tą jego dobrocią, nie mogła znaleść słów któremiby wyraziła mu ile go szanuje i kocha. „Tak jest, mówiła, będę ci posłuszną mój przyjacielu, bo chcę przez posłuszeństwo dać ci zapomniéć to czego ja nigdy nie zapomnę: bez winy, stałam się jednak niegodną ciebie; moje życie do ciebie należy, od chwili kiedy powiedziałeś: „Marjo, chcę żebyś żyła.“

Jednostajne życie młodéj sieroty w towarzystwie obłąkanéj Marji, miewało niekiedy jasne chwile radości. W dzień pracowała, Anna zaś, była dla niéj co raz przychylniéjszą, i chociaż mało rozumiała jéj opowiadania, widać jednak było, iż czuje przyjemność słuchając jéj mówiącéj. Komórka porządkowana przez Marję, zyskała bardzo pod względem czystości; stół dę-

bowy błyszczał jak nowy, a łóżko było codziennie zrana posłane.

Więcéj niż cztery miesiące upłynęły, jak Marja mieszkała w towarzystwie Anny, kiedy jednego wieczora, przy wieczerzy, w pośród rozmowy zupełnie potocznéj, młoda dziewica, krzyknęła, zbladła, i zemdlała. Jan zerwał się, skropił jéj twarz wodą, rozcierał jéj ręce aby ją ocucić; Anna zaś w zwykłéj sobie nieczułości, patrzyła tylko nie ruszając się: „Mój Boże! co jéj jest? pytał młodzieniec. Anna przesunęła ręką po czole, jakby chcąc przywołać jakieś wspomnienie, i rzekła po chwili milczenia: „Ah, tak, wczoraj, i przed kilku dniami także:“ Po tém wysileniu pamięci, zamilkła i zaczęła powoli rozbierała dzieci które spać chciały. Nakoniec Marja otworzyła oczy, Jan wykrzyknął radośnie a biédna dziewczyna odpowiedziała potokiem łez. Potém, kiedy gwałtowność jéj bolesci ustała, rzekła do młodzieńca, który ciągle pytał jéj o przyczynę jéj zemdlenia.

— Oh! Janie, jakże dobrze uczyniłeś żeś mi nie pozwolił umrzéć! byłabym popełniła zbrodnię, okropniéjszą niż ta na którą byłam przygotowaną; byłabym nie tylko siebie zabiła.

— Co mówisz Marjo? czyliż byś była?.... nie dokończył, ale spojrzenie jego dopełniło reszty.

— Nie, Bóg nie byłby mi przebaczył, gdybym zabiła razem matkę i dziécię, mówiła daléj Marja; bo moje nieszczęście jest już zupełne... wtéj chwili uczułam....ach! nie masz siły spojrzéć na mnie, a jednak Janie, więcéj niż kiedykolwiek godną jestem litości.

Jan Kurse zgnębiony ciosem który go uderzył, nic nie odpowiadał; ale Anna, w któréj jedno słowo, obudziło drzémiącą pojętność, zdawało się że w téj chwili odzyskała rozum. Położyła prędko swoje dziécię na łożko, i zbliżając się do Marji, rzekła z najżywszém wylaniem serca. „Oh! to będzie braciszek dla moich dzieci.... Cierpliwości, cierpliwości biédna matko, Bóg nas nie opuści.“ Po tych kilku słowach, Anna znowu wróciła do niedołężności, pamięć znów ją opuściła, zasłona która pokrywała jéj zmysły, podniesiona słowami Marji, znowu opadła i jeszcze grubszą jak pierwéj.

Jan Kurse czyniąc gwałt sam sobie, starał się uspokoić Marją, kiedy ona rzekła mu, po chwili milczenia: „Nie będziesz mógł nigdy kochać mego dziécięcia; byłoby to wymagać od ciebie

czegoś, co jest nad siły człowieka. Urodzenie jego odbierze mi, czuję to dobrze, całe twoje przywiązanie; opuścisz mnie, zostawisz nieszczęśliwemu memu losowi.“—„Nie, odpowiedział on, przysięgam ci, że nie; ale te słowa mówił głosem tak słabym, że Marja nie mogła się tem uspokoić. Jasno zobaczyła, że miłość Jana Kurse dla niéj znikła.

Przychodził jednak jeszcze co wieczór, ale odwiedziny jego coraz krócéj trwały, i już udaną wesołością nie pocieszał serca sieroty. Zawsze ponury, niekiedy i nawet opryskliwy, przykrym się stał prawie, od czasu jak Marja odkryła mu swój stan nieszczęśliwy. Niewinna dziewczyna okropnie cierpiała na tém, ale, cóż mogła powiedziéć.

Nakoniec upłynęło ośm miesięcy, jak Marja mieszkała z Anną. Jan Kurse jak powiedzieliśmy, codzień krócéj przebywał u swéj narzeczonéj, i na kilka dni przed fatalnym terminem, już go nie widziano w biédnéj komorze Anny. Ta ostatnia nie zważała na to, ponieważ było jeszcze dość pożywienia dla jéj dzieci, pozostałego z poprzednich dni. Ale Marja!... Nakoniec nadeszła okropna chwila. Marja widząc, iż nie może się spodziewać żadnej pomocy od swéj obłąkanéj

towarzyszki, zabierala się do wyjścia, chcąc ją znaleść w jakim publicznym instytucie. Wtém, weszła kobieta, któréj Marja nie znała wcale. Ta kobieta spojrzawszy tylko na Marję rzekła:

— Aha, widzę, że nie chybiłam, bo też pan Kurse dobrze mi opisał, no, w sam czas jeszcze przychodzę bogu dzięki. Złożyła na stole paczkę, jak się zdawało rozmaitéj bielizny, i dodała:

— To wszystko on sam wybierał; o to człowiek z głową, zna się na wszystkiém.

W pół godziny potém, Anna uśmiechała się do pięknego chłopczyka powijając go i kiedy dopełniła téj roboty, z najgorliwszą dokładnością, oddała dziécię Marji, mówiąc:

— Pocałuj go, to mu będzie na zdrowie.

Przez czas powolnego powrotu do zdrowia, mieszkanie Marji i jéj towarzyszki zaopatrywane ciągle było przez Jana Kurse. Nie przychodził on odwiedzać słabéj, ale codziennie przysyłał akuszerkę, aby się dowiedziéć przez nią o zdrowiu Marji. Co do dziecięcia Jan nigdy o niém nie wspominał, i posłanniczka którą wybrał do zanoszenia Marji owoców jego oszczędności, przestała nakoniec powtarzać mu, że maiec zupełnie jest do niego podobnym, od czasu jak

rozgniewany podobném oświadczeniem, uniósł się gniewem do tego stopnia, iż nazwał ją „starą warjatką!“ Nakoniec Marja mogła pójść do kościoła złożyć Najwyższemu dzięki, za swoje i dziécięcia życie. Była to niedziela; Marja pewną była, że spotka Jana na kazaniu, a za jaką bądź cenę chciała się przekonać czy już tylko litość dla niéj, ma miejsce w sercu tego który ją tak kochał. W kościele nie mogła go dostrzedz; ale po skończoném nabożeństwie stanęła przy wyjściu, pewna, że Jan przechodząc musi ją zobaczyć i być od niéj widzianym. Jan wychodził z kościoła w towarzystwie kilku swoich kolegów, i nie postrzegł Marji, ale ona go widziała, i skoro tylko, o kilka kroków od świątyni, odłączył się od swego towarzystwa, Marja przyspieszyła kroku i kiedy nakoniec ujrzała się sama z Janem na ulicy, zawołała nań po imieniu: Jan odwrócił się i szybko zbliżył się do niéj.

— Co za nieroztropność! Marjo, zanadto prędko wychodzisz. Wróć się do domu; powietrze jest ostre.

— Oh, nie, bądź spokojnym, Janie; powiedziano mi że już nie ma niebezpieczeństwa... A prócz tego, nie mogłam wytrzymać; mój przyjacielu, chciałam koniecznie widzieć cię. Tak dawno już opuściłeś mię!... Gdyby nie twoje dobrodziejstwa, myślałabym że już nie myślisz o mnie.

— Mogłażeś przypuścić myśl podobną? Marjo, nie jestżem zawsze tym samym dla ciebie?... A prócz tego, mógłżebym gniewać się na ciebie dla tego że jesteś nieszczęśliwa?... nie mam tak złego serca, chciéj mi wierzyć... Kocham cię tak jak dawniéj.

— A więc dla czegóż nie przychodzisz do mnie, Janie? Dla czego mię zostawiasz samotną?

— Dla czego? powtórzył z miną która zdawała się mówić: Nie powinnaś się o to pytać... wiesz to tak dobrze jak ja.

Marja zrozumiała spojrzenie młodzieńca, i rzekła: Ależ mój Boże, cóż to biédne dziécię winne, żeby go nienawidzieć, czyliż ono uczyniło komu co złego?

— Wiem o tém Marjo; ale,... nie można swemu sercu rozkazywać... Ciebie kocham, i z tobą, bez niego, będę najszczęśliwszym!.. ale

twoje dziécię, nie mów mi o niém, nie chcę go nigdy widziéć.

To znaczy, że się ze mną rozstajesz na wieki; bo, przysięgam przed Bogiem który mi dał siłę do przeżycia mojéj hańby, dla tego abym mogła dopełnić powinności dobréj matki, że nic prócz śmierci nie rozłączy mię z mojém dziécięciem.

— Marjo! gdybyś chciała pomówić rozsądnie, podałbym ci sposób któryby wszystko mógł pogodzić. Potrzeba tylko twojéj dobréj woli.

— I cóżbyś mi mógł przełożyć, przy twojéj nienawiści dla mego syna, jak tylko rozłączenie, na które nigdy nie przystanę...nie, choćby nawet przez to syn mój miał zostać szczęśliwszym niż przy mnie.

— Kiedy tak, rzekł Jan, głęboko dotknięty odmową Marji, uczyńmy tak jakby nigdy nic między nami nie było, i tylko pozwól mi żebym nie zupełnie rozstawał się z tobą.... Marjo, czynisz mi nieskończenie wiele przykrości, bo kochałem cię z całych sił, ale co do tego dziécięcia, powtarzam, nigdy dla mnie niczém nie będzie.

— A więc, zachowaj sobie twoje dobrodziejstwa, zawołała Marja oburzona; jałmużna obcych będzie mi mniéj gorzką; nie będzie przynajmniéj

pochodzić od człowieka, który nienawidzi mego syna, i który nie pojmuje, że rozłączyć mię z nim, byłoby to samo, co zabić mię.

— Bądź zdrowa Marjo, przerwał Jan Kurse, usiłując ukryć swoje żywe wzruszenie; zobaczemy się znowu, wtenczas kiedy nie będziesz mię przymuszać, abym przyjmował dziécię zbrodniarza który cię shańbił.

— Nie zobaczemy się nigdy!

Taka była odpowiedź Marji i oboje rozeszli się każde udając się w inną stronę. Marja poszła ku swemu biednemu mieszkaniu. Jéj głowa płonęła; krew w żyłach jéj biła gwałtownie; okropna gorączka trawiła ją. Co się działo przez miesiąc choroby Marji? jakim sposobem Anna wyżywiła całe gospodarstwo? to jest tajemnicą kilku dobroczynnych osób, które przechodząc wieczorem, rzucały pieniądz w rękę obłąkanej, która powtarzała: „Dla dwóch biednych matek, i trojga niemowląt.“

Dary Jana Kurse nie dochodziły już do Anny. Nie było to zupełnym dowodem obojętności dla Marji; ale pan Redsburg, u którego Jan pracował, położył koniec zmartwieniu jego, posyłając go z robotą o dziesięć mil od Norymbergi do jednego z swoich przyjaciół, który potrzebował

zręcznego czeladnika. Jan który spodziewał się że kilka dni tylko tam pozostanie, po kilku tych dniach, otrzymał list od swego pana w którym tenże tak się wyrażał: „Na teraz, uwalniam cię od pozostałych sześciu miesięcy przez które miałeś jeszcze bezpłatnie u mnie pracować. Oddasz mi resztę długu twego ojca, z posagu panny Karoliny Spire, córki twego nowego majstra. Małżeństwo to ułożyłem już z jéj ojcem, z wielką korzyścią dla ciebie. Mój przyjaciel Spire, chciał miéć zięciem rzemieślnika, zręcznego, uczciwego i porządnego. Ty jesteś właśnie takim jakiego mu potrzeba; bądź rozsądnym mój przyjacielu; pomyśl o twojéj przyszłości; a co największa, nie popełnij głupstwa odrzucając rękę panny Karoliny, która zapewne przyjęła cię jak narzeczonego, ponieważ ona oddawna wie o naszych układach.

Jan zrozumiał teraz powody uprzejmego przyjęcia jakiego doznał ze strony rodziny Spire. Zrazu chciał opierać się przychylności ojca i wdziękom córki; ale ta ostatnia tak starała się mu podobać, że nakoniec wzruszony został tém zajęciem; zwolna, powstało i przywiązanie.

Za sześć miesięcy, pan Redsburg przyjechał do swego przyjaciela, podpisano kontrak ślubny,

Jan otrzymał kwit na dług swego ojca, a panna Karolina Spire została panią Kuree.

Anna żebrała aż do zupełnego wyzdrowienia Marji, następnie, kiedy młoda matka mogła na nowo zacząć pracować, wróciła do szycia które powierzały jéj niektóre litościwe osoby. Był to bardzo słaby zasiłek, dla tego codziennie Anna powtarzała jéj widząc puste szafki: „Pozwól mi zejść na dół, na ulicy można znaleść chleb i pieniądze, tak tylko czyniąc: tu pokazała jak żebracy wyciągają rękę do przechodzących. W ten sposób Marja dowiedziała się jak jéj towarzyszka zdołała utrzymać cały dom przez czas jéj słabości.

— Nie, odpowiadała wtedy, będę czuwała, będę pracowała przez całą noc, jeśli tego potrzeba, ale ty nie będziesz żebrać.

Jak przyrzekła, tak uczyniła, podwoiła gorliwości w pracy, ale wkrótce zabrakło jéj roboty. Nakoniec po dwóch latach pobytu Marji u Anny, obie biedne matki, znalazły się w konieczności wzywania litości przechodzących, aby wyżywić swoje dzieci.

Pewnego wieczora w zimie, kiedy Marja wracała do domu, uniknąwszy szczęśliwie straży miejskiéj która z największą zaciętością ścigała

żebraków, potknęła się o coś leżącego na wschodach. Strwożona, przybiegła ze świécą na to miejsce; jakież było jéj przerażenie, na widok Anny pokrwawionéj, leżącéj na wschodach. Na krzyk rospaczy Marji, obłąkana otworzyła oczy, i rzekła:—„Niegodziwi żołnierze;...wybili mię, dla tego, że nie chciałam iść do więzienia... A cóż ja uczyniłam Marjo,...nikomu nic złego.... powtarzałam tylko: „Dwie matki i troje dzieci.“... . Marja z trudnością dopomogła swéj towarzyszce wejść na górę, Opatrzyła jéj rany, a kiedy obłąkana odzyskała siły, Marja rzekła do niéj:—„To zanadto nieszczęścia! trzeba skończyć Anno, niebędziemy już żebrały.

V.

Dzieciobójstwo.

. . . . z pierwszą chwilą naszego istnienia,
Zaczynają się dla nas matki poświęcenia.

Legouvé.

Pod postacią pelikana rozdzierającego piersi swoję dla nakarmienia krwią małych piskląt, przedstawiono miłość rodzicielską.

Buffon.

Rany Anny były tak lekkie, iż budząc się nazajutrz, zaczęła już nucić jednę z ulubionych swoich piosnek, i, jakby wczorajsze wypadki zatarły się w jéj pamięci, zapytała Marji: — „Co to ja wczoraj robiłam, że się dziś czuję tak znużoną? Towarzyszka jéj przypomniała jéj nieludzkość

żołnierzy. Ach! tak, niechcieli mi wierzyć kiedym powiadała przechodzącym, że nasze dzieci są zgłodniałe, ale dziś wieczór wezmę z sobą dzieci, przekonają się wszyscy że Anna prawdę mówi.

— One mają żebrać? rzekła Marja. Oh, nie, nie! bo i my nie będziemy już wyciągały ręki do przechodzących.

— A więc Jan Kurse powrócił? przerwała obłąkana, i obracając się do dzieci, które w pół nagie bawiły się na podłodze, dodała; bawcie się, bawcie, dziś zobaczemy znowu pana Jana, który nam codzień przynosi chleba i szynki, nie będziecie już nigdy głodne, i żołnierze nie będą bili biednéj Anny.

Imie młodego czeladnika obudziło bolesne wspomnienie w duszy Marji otarła łzy z oczu i rzekła: — Nie trzeba myśléć o Janie Kurse, on już umarł dla nas.

— Umarł także! powtórzyła obłąkana, tak jak mój kochany Niel! i jak twój ojciec, Marjo! Młoda matka nic nie odpowiedziała. Anna schyliła głowę, złożyła ręce i odmowiła krótką modlitwę, za duszę szczęśliwego w téj chwili męża

panny Spire, Marja nie sądziła potrzebą wyprowadzać ją z błędu; po chwili milczenia, mówiła dalej:

— Powiedziałam ci tedy, że nie będziemy żebrały.

— A któż nam będzie dawał chleba?

— Słuchaj mnie uważnie, a jeśli zdołasz pojąć mię i zechcesz mi pomagać, dzieci nasze nie będą już szukać chleba w pustych szafkach; będą miały suknie i ogień przy którym się rozgrzeją; nie będą już oddychały niezdrowém powietrzem téj komórki; będą dobrze wychowywane, nauczą się jakiego rzemiosła, nakoniec będą szczęśliwemi, a my nie będziemy już cierpiały nędzy.

Obłąkana podniosła zwolna głowę, utopiła wzrok podziwienia w twarzy Marji, i rzekła „Mów, mów, tu idzie o nasze dzieci, zrozumiem wszystko.

— Jest w Norymberdze szpital, do którego przyjmują dzieci, których rodzice nie żyją. Widziałaś kilka razy na ulicy, całe szeregi tych sierot; jak one pięknie ubrane, jakie zdrowe; pomyślałam sobie, że byłoby zbrodnią pozbawiać nasze dzieci tak szczęśliwego życia, kiedy nam tak łatwo zapewnić im je bardzo prędko.

— Tak, tak, masz słuszność Marjo, zaniesiemy je do szpitala, a potém będziemy odwiedzały je codziennie.

— Ale z naszych rąk, nie przyjmą tam naszych dzieci; powiedziałam, że trzeba, żeby rodzice ich nie żyli.

— A zatém trzeba, żebyśmy nie żyły!... Więc nas zabiją? zapytała obłąkana.

— Tak, jeśli pan Bóg zechce; bo religja zabrania nam odbierać sobie życie własną ręką, ale jeśli sędziowie skażą nas na śmierć, to już nie będzie naszym grzechem. Anno, to Bóg rozrządzi naszém życiem.

— Mają nas sądzić? powtórzyła Anna, a to dla czego?

— Abyśmy umarły, Anno, i aby przez to dzieci nasze, zostały wychowane i zabezpieczone na zawsze od niedostatku.... Oh! mówiła daléj Marja do siebie, ona nigdy nie zrozumie tego; mój Boże! jak jéj wytłómaczyć to czego od niéj żądam?

— Ale ja rozumiem, odpowiedziała Anna, któréj wyobraźnia silnie natężona, zaczęła dostrzegać część zamiarów Marji; trzeba żeby nas sędziowie na śmierć skazali, to wtedy nasze dzieci

nie będą cierpiały niedostatku; czy to chciałaś powiedzieć?

— Ach tak, właśnie to samo, rzekła Marja. Promień radości zajaśniał w jéj oczach, jéj macierzyńskie serce zostało zrozumiane przez drogie serce matki; sądziła, że opatrzność cud uczyniła, zsyłając światło rozumu w duszę obłąkanéj, dla spełnienia jéj nadziei.

— Przypominasz sobie, mówiła daléj, że przed rokiem znaleziono dziewczynkę około trzech miesięcy mającą, ukrytą na ulicy pod stosem kamieni. Śledzon o bardzo gorliwie sprawców téj zbrodni, ale napróżno.... Otóż ta mała dziewczynka była mojém dziécięciem, rozumiesz? Anna zadrżała z przerażenia.—Ty sama tylko wiedziałaś o jéj narodzeniu, obawa nędzy dla téj biednéj ofiary, natchnęła nas myślą zabicia jéj.... Udusiłyśmy ją, a potém razem ukryłyśmy ją pod stosem kamieni, gdzie ją nazajutrz znaleziono. Od téj chwili, serca nasze doświadczają najokropniéjszych wyrzutów, życie stało nam się nieznośném, i przyszłyśmy wyznać naszą winę, aby sprawiedliwość wydała na nas wyrok. Oto tyle, moja kochana Anno, powiem sędziom; oni mi uwierzą, a nasze dzieci otrzymają przytułek, ponieważ zostaniemy na śmierć skazane.

— A więc to prawda, że my zabiłyśmy to dziecię? zapytała obłąkana.

— Tak jest, trzeba żeby to było prawdą dla innych, bo inaczéj dzieci nasze niebyłyby przyjętemi do szpitala sierot.

— A więc jeśli to prawda, powinnyśmy się przyznać....Ty będziesz mówiła; ja będę się starała przypomnieć sobie to wszystko, i będę odpowiadała: „Tak.“ To były ostatnie wyrazy obłąkanéj, w przedmiocie zeznania jakie miała uczynić w sądzie. Marja obawiając się, żeby jéj postanowienie nie zachwiało się, chciała tego samego dnia jeszcze udać się do sądu. Rozdawszy między dzieci resztę chleba, rzekła do swéj towarzyszki:

— Widzisz, że trzeba umrzéć, bo jutro nie miałyby dzieci co jeść.

Anna zaczęła ubierać dzieci jak mogła najlepiéj, i podczas kiedy odważna młoda matka, błagała Boga aby jéj darował pierwsze kłamstwo które miała popełnić, obłąkana machinalnie nuciła jakąś piosneczkę, ubierając dzieci w rozmaite podarte sukienki które z kątów wyciągała.

W krótce wszystko było gotowe. Przed opuszczeniem na zawsze komórki którą z Marją przez

lat dwa zamieszkiwała, uścisnęła ona swoję towarzyszkę niedoli, i rzekła:

— Wszakże mi przebaczysz, jeśli moje zeznanie ściągnie na ciebie wyrok śmierci?... Chciałabym sama tylko siebie poświęcić, ale cożby się stało z twemi dziećmi, gdybyś mię przeżyła?

— Ja chcę żeby i one chodziły tak pięknie ubrane jak sieroty z szpitala, odpowiedziała Anna.

— Marja nie żądała więcéj. Spojrzała raz jeszcze na mieszkanie nędzy które opuszczała; może przez chwilę żałowała; ale szlachetna myśl która ją zajmowała, stłumiła natychmiast westchnienie które jéj pierś wznosiło.

— Pójdźmy rzekła, biorąc na ręce swego syna; a Anna prowadząc za sobą swoje dzieci, poszła za nią aż do mieszkania sędziego, które wskazał im jeden z sąsiadów.

Sędzia do którego się udały, pomimo nadzwyczajnéj bystrości jakiéj nie raz dał dowody odgadując prawie co ma wyznać obwiniony, nadzwyczajnie zdziwił się, kiedy Marja wyznała przed nim zbrodnię, któréj nie popełniła. Gotów był prawie nie wierzyć, tyle oko jego wprawne było do rozpoznania prawdziwéj zbrodni.

— Wyjaśniemy tę rzecz, rzekł; tymczasem jednak muszę was kazać zaprowadzić do więzienia.

— A nasze dzieci? zapytała Anna, którą dreszcz przeszedł, gdy usłyszała o więzieniu.

— Zostaną oddane do szpitala sierot, odpowiedział sędzia.

Marja uczuła silne bicie serca: jéj wszystkie życzenia zostały spełnione. Ścisnęła rękę Anny i rzekła jéj po cichu: „Słyszałaś? zostaną oddane do szpitala.

— Słyszałam odpowiedziała obłąkana.

Na rozkaz sędziego, dwaj słudzy sądowi zbliżyli się aby odprowadzić obie kobiety do więzienia, kiedy tym czasem trzeci, miał zaprowadzić dzieci do szpitala. Marja w uniesieniu któm napełniał ją jéj zamiar, nie pomyślała wcale o nieuchronném rozstaniu się. Krzyk który wydała Anna kiedy sługa sądowy wziął za rękę jéj starszego syna, obudził w sercu Marji, całą siłę miłości macierzyńskiéj; i ona zaczęła wołać jak Anna: „Nie jestem winną, panie sędzio! pozwól mi odejść z mojém dziécięciem.“ Ale sędzia który w tém naglém zaprzeczeniu zeznania, zdawał się poznawać głos winowajcy; rozkazał aby spiesznie wykonano jego wyrok. Stało się

podług jego woli, chociaż z trudnością zdołano uwolnić dzieci z objęć ich matek.

W trzy miesiące po tym wypadku sądzono sprawę dzieciobójczyń. Marja uwiadomiona o losie trojga sierot, przez żonę dozorcy któréj przychylność umiała sobie zjednać, wytrwała w swojém pierwotném postanowieniu. Anna w jéj obecności, potwierdzała wszelkie jéj zeznania, a kiedy była osobno wzywaną przed sędziego, prosiła go tylko o wzgląd dla swego syna Niela i jego brata Józefa.

Nie było dowodów zbrodni, ale zeznania Marji tak były jednostajne i wyraźne, że sędziowie nie mogli wątpić o ich rzetelności; opisywała ona najdrobniéjsze szczegóły występku który popełniła, a Anna potwierdzała wszelkie jéj opowiadania. Wydano wyrok śmierci.

Osądzone wróciły do swego więzienia. Marja raz jeszcze rzuciła się w objęcia Anny, błagając ją aby jéj przebaczyła śmierć swoję; dzień ten pełen był wzruszeń dla biednéj sieroty: położyła się na słomie, która jéj służyła za posłanie i dobroczynny sen, wkrótce skleił jéj powieki. Anna któréj zdawało się że kołysze swoje dzieci zasnęła także, obok niéj nucąc zwyczajną piosnkę.

VI.

Szczęście, pokój i spoczynek.

Dobroć Boga który nas stworzył dała nam dla osłodzenia cierpień naszych, sen i nadzieję

Voltaire.

Dwie nieszczęśliwe matki spały już od godziny, kiedy otworzyły się drzwi więzienia. Wszedł młody człowiek: był to Paweł Hartzwald, adwokat, który z urzędu stawał w obronie obwinionych. Oświadczył on Marji, że jest wolną, i że może razem z swoją towarzyszką wyjść z więzienia.

— Wolną! powtórzyła Marja. I któż nam nie pozwala umrzéć kiedy to jest nasza jedyna ucieczka przeciwko nędzy.

Paweł uśmiechnął się z zajęciem i rzekł: Bądźcie spokojne szlachetne matki, nie będziecie już cierpiały; ponieważ odkryto prawdziwego dzieciobójcę; ja sam chodziłem po wasze dzieci do szpitala, są one w mojém mieszkaniu. I któś, który popełnił okropną zbrodnię względem ciebie Marjo, bierze ich los na siebie. Tak, szlachetna istoto, ojciec twojego syna, chce nakoniec dać się poznać, chce okupić swoję zbrodnię ofiarować ci miłość i szczęście, w zamian za przebaczenie, na jakie zasłużył przez swoje wyrzuty sumienia.

Niech kto wystawi sobie jeśli to być może, podziwienie Marji, na te słowa młodego adwokata! Patrzyła na niego, i nie śmiała wierzyć jego mowie. Ona szczęśliwą, jéj syn przyznany! jéj towarzyszka zabezpieczona od nędzy! — Oh! zawołała, pan mię zwodzisz; żartujesz sobie z mojéj łatwowierności; albo raczéj ja się zwodzę, bo wszystko to co słyszę, snem tylko być może. I przecierała oczy łez pełne, ale łez które zmniéjszały jéj boleść, bo to były łzy radości.

Paweł Hartzwald mówił daléj, pokazując jéj otwarte drzwi więzienia.

— Patrz, Marjo, niema żołnierza na korytarzu; gdyby wyrok miał być wykonanym, zamiast mnie, byłby tu przyszedł pastor, aby cię na śmierć przygotować. Powtarzam ci, aniele czystości, Bóg nie chce aż do męczeństwa posuwać doświadczenia na jakie się wystawił. Przychodzę do ciebie, z nagrodą twoich łez i wytrwania.

Te ostatnie wyrazy, wymówione były głosem takiéj szczerości, że Marja przestała nakoniec wątpić. Powtórzyła towarzyszce swojéj słowa pana Hartzwald, a ta płakała i śmiała się naprzemian, widząc łzy i uśmiech Marji, ale tak mało pojmowała z tego wszystkiego co jéj powtarzała jéj towarzyszka, iż odwracając się do młodego adwokata: Tak jest, panie sędzio, rzekła, zabiłyśmy tę małą dziewczynkę; nie zapominaj pan o naszych trzech sierotach.

— Biedna Anna! rzekła Marja, nie może mię zrozumiéć; ale niech tylko zobaczy swoje dzieci, a pewną jestem, że zrozumie wszystko.

Obie kobiety wyszły z Pawłem Hartzwald. Wszyscy mieszkańcy więzienia którym wiadomą była historja Marji i Anny, przez uchylone o-

kienka swych więzień, przesyłali życzenia szczęśliwego losu, dwom bohaterkom miłości macierzyńskiéj. Dozorca, strażnicy, z uszanowaniem torowali im przejście, życząc im szczęścia na jakie zasłużyły przez tyle cierpień. Młody adwokat zaprowadził Marję i Annę do swego mieszkania, gdzie liczni przyjaciele, oczekiwali na ich przybycie.

Obłąkana nie pojmowała tego tryumfu prawdy; ale widziała się otoczoną tylu przyjaznemi oznakami żywego zajęcia, iż rzekła do Marji. „A więc nie chcą abyśmy umarły? czy kto powiedział im, że to nie my zabiłyśmy to dziecię?

— Nieinaczéj, Anno, za chwilę oddadzą nam nasze dzieci! Już od tak dawna byłyśmy od nich odłączone!

Natychmiast przyprowadzono troje dzieci; nie były już one ani w podartych sukniach jakie w domu nosiły, ani w zwykłém ubraniu sierot wychowanych w szpitalu. Obie matki nie mogły nacieszyć się widokiem pięknych sukien, jakie ich dzieciom sprawił Paweł Hartzwald.

Po słodkich uniesieniach miłości macierzyńskiéj, Marja opowiedziała powody jakie skłoniły ją i jéj towarzyszkę, do poświęcenia się na śmierć: wszyscy wydali okrzyk uwielbienia.

Młody adwokat zabrał głos z kolei: opowiedział zbrodnią któréj Marja była ofiarą, wspomniał o wyrzutach sumienia jakie nieustannie dręczyły winnego, który pragnął dać się poznać dopiero w dniu w którym nagrodzi swój występek, oddając Marji swoję rękę i imie.

Dzień ten wkrótce nadszedł.

Na tych placach publicznych, na tych ulicach, które w razie wykonania wyroku na dzieciobójczyniach, byłyby napełnione tłumami ciekawego gminu, złorzeczącego mniemanym zbrodniarkom, Marja w bogatym stroju oblubienicy, Anna, w sukniach, jakich nie miała na sobie nawet w czasach zupełnéj pomyślności, przechodziły pomiędzy dwoma szeregami widzów, którzy cisnęli się aby ujrzéć te dwie bohaterki.

Był to razem słodki i przykry widok, spojrzawszy na radośny uśmiech dwóch matek, pomięszany z niezatartemi śladami, które nieszczęście pozostawiło na ich obliczach.

Anna zdawała się nakoniec pojmować wszystko: nie było już głupoty w jéj spojrzeniu, ruchy jéj były naturalne. Marja, co chwila zwracała oczy na swego uwodziciela, którego spojrzenia były pełne miłości. I serce panny młodéj biło z lekka; bo czuła, że nie będzie dla niéj

niepodobném, kochać tego który tak szlachetnie wynagradza krzywdę jaką jéj wyrządził. Nakoniec szczęśliwa Marja, przyszła przed drzwi kościoła. Zaskrzypiały ciężkie podwoje na zardzewiałych zawiasach:

— Co to jest? zapytała Anna zrywając się ze snu. Jéj wykrzyknienie obudziło Marję; i przy słabém świetle latarni dozorcy, rozpoznała mury więzienia i posłanie na którém spoczywała.— „Ah! rzekła z poddaniem się losowi, cóś mi ciągle mówiło, że to wszystko nie może być prawdą.

— To pan pastor, przychodzi was odwiedzić, bo już godzina nadchodzi, rzekł dozorca.

Wszedł duchowny.

— Wstań, rzekła Marja do swéj towarzyszki, która zlękła się i odwróciła się do muru.

— Dla czego? jeszcze noc.

— Wiesz dobrze, że nigdy nie ma dnia w naszém więzieniu....Daléj, Anno, wstań.

— A cóż będziemy czyniły?

— Będziemy się modliły, a potém umrzemy.

Marja nie chciała kłamać przed duchownym, dla tego prosiła go aby oszczędził sobie uwag, względem jéj mniemanej zbrodni.

Obie męczenniczki, błagały Boga o pomyślność swoich dzieci, dopóki nie dano im znać, że wykonawca sprawiedliwości czeka na nie.

Jak we śnie Marji, przechodziły ulice napełnione tłumami ciekawych, ale ich spojrzenia nie były przyjazne i żaden głos nie błogosławił wspaniałomyślnych ofiar miłości macierzyńskiéj. Obłąkana pochyliła także głowę, bo widok bagnetów błyszczących w świetle słońca, przypominał jéj dzień, w którym została pobitą przez żołnierzy, za to że żebrała.

Pocałowanie wzajemne dwóch nieszczęśliwych matek, poprzedziło wykonanie wyroku.

W godzinę potém, mówiono w różnych miejscach: „Umarły z odwagą."

Tak więc szczęściem Marji był tylko sen, pokojem, stan jéj sumienia, a spoczynkiem, — śmierć.

INCOGNITO.

I.

KĄPIEL.

„Błogosławię to zdarzenie, odezwał się Adolf do swojego przyjaciela Józefa, które nam w tém miejscu, każe czekać trzy godziny, na przybycie dyliżansu. Czy widziałeś kiedy co piękniejszego? Przyznaj sam, że to prawdziwy Klaudjusz Lorrain! jaka przejrzystość wody, ta wysmukłość drzew wybujałych, owa jasna i piękna perspektywa, a w oddaleniu ta błękitnawa mgła, nawet powietrze samo, tak łagodne,.... jestem zachwycony!....O!, żebym ja był takim Klaudjuszem Lorrain, albo przynajmniéj jakim Berghemiuszem!“

Józef uśmiechnął się z niechcenia na ten wybuch poetyckich wykrzykników, a jednakże i on z mocném zajęciem zagłębił swoje ciemne oczy w roskoszny krajowid. W pośrodku lazurowych wód wielkiego jeziora, znajdowała się czarującéj piękności wysepka, któréj niskie brzegi, okrywała kwiecista łączka, rosą uperlona, daléj nieco wgłąb rosły: dziki chmiel, młoda leszczyna i łozina, a w samym środku wznosiły się wysoko w kształcie jakoby świątyni, wiązy i wspaniałe jodły, z pomiędzy których wytryskiwało źródełko czystéj wody. Poważne łabędzie, śnieżnemi piersiami roztrącały gładką powierzchnię jeziora. Z boku około siebie, widzieli nasi dwaj przyjaciele, gęstą zaroślę brzeziny i płaczącéj wierzby, których konary, lekkim, porankowym wietrzykiem kołysane, płókały się w wodzie.

Uniesienie Adolfa jak było raptowne, tak też i raptownie znikło, a umysł jego skierował się do prozaicznego podziwiania krajowidu na który patrzał.

— To jezioro musi być zapewne bardzo rybne; nie wątpię, że w niém muszą być wyborne

karpie. Jak uważam po tych wydrążonych baniach, to tu i dzikie kaczki przebywają.

Tymczasem Józef, rozłożył swoje podróżne krzesło, dobył ołówka i papieru, i w szybkich zarysach szkicował zachwaloną okolicę. Adolf położył się obok niego na miękkiéj murawie, i przyglądał się Józefa robocie, lecz niebawem sprzykrzyła mu się ta bezczynność. „Głupiec ze mnie, zawołała zrywając się, kiedy ty przenosisz piękną przyrodę na papier, czemuż ja jéj nie mam kosztować w sposobie więcéj materjalnym, przez użycie wzmacniającéj kąpieli.“

To powiedziawszy, poszedł między wierzby, rozebrał się, i po kilku minutach pluskał w krysztale wód jeziora. Lecz jakże się przeląkł, gdy nagle wypłynęło z po za wysepki piękne czołno z czterema młodemi dziewicami. Zmieszany, oglądał się na wszystkie strony, ale próżno, nigdzie nie było schronienia; brzegi daleko, a cała powierzchnia wody zupełnie odkryta; tymczasem czółno pomykało się dość żwawo.

— Ratunek w potrzebie! Przynęto na kwakającą rzeszę wodną, pozwól ukryć w twojém wydrążeniu moją głowę! W mgnieniu oka, Adolf schwytał pływającą banię, i wsadził sobie na głowę wystającą z wody. W takiéj postawie

oczekiwał spokojnie na zbliżające się czółno. Na środkowéj ławeczce siedziały dwie młode kobiety, które z ubioru, postaci i wdzięków, różniły się znakomicie od dwóch młodych i silnych wieśniaczek, po obu końcach czółna wiosłami robiących. Prawdopodobnie, i one, jak niegdyś Afrodyta z morza, dopiero co musiały wyjść z jeziora, albowiem szerokie białe płaszczyki, cienkiemi koronkami obszyte, okrywały nadobne członki młodych dziewic, wilgotne kędziory spływały w naturalnych splotach po pełnych ramionach, a chusteczka od niechcenia zarzucona, niezupełnie zakrywała śliczną pierś. W téj chwili Adolf o mało nie stał się Hylasem.

Musiał on z całém natężeniem strzedz się, aby tylko banią osłonięta głowa z wody wyglądała. Dwie dziewice w czółnie, przedstawiały północ i południe Europy. Jedna z nich z okiem pełném ognia włoskiego, z włosem hebanowym, i cerą wysoko ożywioną, nie zdawała się należéć do latorośli niemieckich. Przy téj powabnéj Junonie, siedziala łagodna, czarujących wdzięków roskoszna Psyche, któréj postać, niech sobie czytelnik sam odmaluje. Głowa jéj oparta była na ramieniu Junony, a oczy jasno-błękitne, błądziły po obszernéj wód przestrzeni. „Powiedz

mi, zapytała swojéj sąsiadki, po co te szkaradne żółte łby tureckie, po jeziorze pływają? Zapewne to są psoty chłopaków ze wsi, którzy nie mają nic do roby.“

— Mylisz się, odpowie Juno, bo to jest gałęzią przemysłu myśliwskiego. Ażeby zwabić dzikie kaczki, wymyślono ten śmieszny podstęp. Z początku boją się one owych żółtych głów, ale wnet oswajają się z niemi, przybliżają się, a nawet przez otwory umyślnie sporządzone, chwytają pozostałe resztki mięsa lub pestek z wydrążonéj bani. Na to tylko czeka myśliwy, który siedząc w wodzie, trzyma głowę w wydrążeniu bani, i wtenczas bierze żywcem dzikie kaczki.

— Dla Boga, zawołała przelękniona Psyche, wszak to doprawdy człowiek siedzi w bani!

— Alboż my dzikie kaczki? rzecze niedowierzająca Juno z uśmiechem; a może też myśliwiec pomylił się na naszych osobach.

— Nie żartuj, odpowie tamta, czy nie widzisz jak przez banię błyszczą oczy na nas zwrócone.

Wieśniaczki roześmiały się filuternie; jedna z nich podniosła wiosło zamierzając się na banię,

która natychmiast zanurzyła się w wodzie i daléj cokolwiek znowu na wierzch wypłynęła.

— Oto znów tam druga bania pływa, zawołała Psyche, skazując na tę która skłopotanego Adolfa ukrywała, widzę szyję ludzką, dodała, kryjąc mocno zarumienioną twarz na łonie Junony.

Juno przestała się śmiać, dała tylko znak wioślarkom, żeby prędzéj płynęły, i resztę drogi, nie mówiąc i słówka przebyły.

Czółno przybiło do brzegu, i kobiety tak szybko na ląd wyskoczyły, że zaledwie zdążyły oddać ukłon rysującemu Józefowi, który nieporuszony ścigał wzrokiem uważnym uciekające. Skoro znikły zupełnie, umyślił z pamięci ozdobić swój szkic pięknemi żeglarkami, co mu się też udało, może lepiéj niżeli sam krajowid. Przypatrywał się z zadowoleniem swojéj robocie, gdy tymczasem przyjaciel jego, już ubrany, stanął obok niego.

— O to mi przygoda, razem trwożąca pełna przyjemności i osobliwa. Z niemałego kłopotu wybawiła mię bania; pod jéj zasłoną miałem widok, jak nigdy. Ale—nie ja jeden byłem szczęśliwy, ktoś inny, jeszcze był ode mnie

bliżéj czarodziejek. Któżby to mógł być? nie myśliwiec! przypatrywałem mu się żeby odkryć to incognito, przecież, widać obznajmiony dobrze z żywiołem, płynął duży kawał pod wodą, i zniknął mi na ostatku za wysepką."

II.

Dyliżans.

W zamyśleniu powrócili obaj przyjaciele do miasta, sądząc że dyliżans musiał już nadjechać. Na rynku przedstawił im się widok *Auto da fé*

dziewiętnastego wieku. Żołnierze francuzcy otaczali ogromny stos na którym palono... nie ludzi, ale paki z nankinem, manszestrem, aksamitem i innemi bawełnianemi towarami. Wyroby angielskiego przemysłu, których ogień strawić nie mógł, tłuczono i niszczono. Wszystkie te przedmioty zabrane były spokojnym kupcom, którzy je mozolnym zarobkiem dawniéj opłacali.

Adolfowi już miały się wymknąć słówka uszczypliwe, ale Józef nie dał mu stać, ciągnąc spiesznie do domu pocztowego, gdzie też właśnie na sam czas przyszli. Przywitawszy się z innemi towarzyszami podróży, nasi młodzieńcy, zajęli w dylizansie miejsce, który też ruszył zwolna, jak to zwykle przed dwudziestu kilku laty bywało. Łatwo się domyśli każdy, że jedynym i wyłącznym przedmiotem rozmów między podróżnemi było owe Auto da fé.

— Wielka szkoda tak pięknych towarów, odezwie się żałośnie młoda panienka, palić tak obojętnie tyle kosztownych rzeczy, jedna sztuka z owych drogich materji, zrobiłaby mię szczęśliwą.

— Nie mogli oni, przerwie siedząca koło niéj kobieta, w latach już będąca, ubogim rozdać te materje, byłby przynajmniéj jakiś pożytek.

— Jenerał Rapp, rozsądniéj w téj mierze postąpił, odezwie się jegomość z dużą wychudłą twarzą, kazał on swoim żołnierzom porobić pantaljony i kamizelki z angielskich materji.

— Dla tego też, możnaby go nazwać tegoczesnym Kryspinem, zawoła Adolf, którego w téj chwili Józef nieznacznie za suknię pociągnął.

— Swięty Kryspin, odpowie tamten, godzien był szacunku i czci; wziął tam gdzie było nadto, a przyczynił gdzie brakowało. Tak i Jenerał Rapp robi. Prócz tego, nie mogę ganić nawet palenia towarów angielskich. Napuszeni dumą Brytańczykowie, nie warci nic lepszego.

— Aj! odezwie się młoda panna, pan w tém żadnéj szkody nie ponosisz, możesz się cieszyć z czynu, który tylko powiększy odbyt własnych jego wyrobów; na mój rozum, to mi się zdaje, że to jest to samo, co zaprzęgać konie za wozem.

Nie najlepiéj się WPannie zdaje, odpowie mężczyzna, skoro śmiesz potępiać dzieła Napoleona. Jest to słońce, które ogrzewa i oświeca wszystkie narody; jego to tylko niewyczerpany jeńjusz uwolnił nas od cierpkiéj i opłakanéj przyszłości i postawił kraje niemieckie na świetnéj stopie.

Pan jesteś Niemcem? odezwie się teraz podróżny, który dotąd w milczeniu siedział w głębi

dyliżansu. iWszystkich oczy zwróciły się na niego, był to mężczyzna lat około 30 mieć mogący; twarz jego żółtawo blada, okoloną była czarnemi faworytami, a z pod gęstych również czarnych brwi, świeciły się oczy bazyliszkowe. Ubior jego wydawał, iż powinien należéć do wyższego towarzystwa.

Pan jesteś Niemcem? powtórzył, nie czekając odpowiedzi, a poniżasz swoją ojczyznę. Rozumiem, zapewne złoto francuzkie zniewala jegomości do podłego podchlebiania potężnemu władcy.—Mości panowie, rzecze daléj, obracając się do naszych dwóch przyjaciół, jestem Szwed, ale gdybym był Niemcem tak jak panowie, potrafiłbym nakazać milczenie temu szczebiotliwemu kłamcy.

— Masz pan słuszność, powie Adolf.

— Strzeżże się, przerwie natychmiast Józef.

Jegomość do którego przymówka była wymierzoną, z szyderczą miną zmarszczył brwi i odezwał się: Szwed? Gustaw Adolf obok Napoleona, wygląda jak student niedowarzony.

Na te słowa rozjątrzony Szwed zerwał się żeby ukarać oszczercę, lecz ten wyskoczył nagle z dyliżansu, i uniknął burzy która mu groziła; poczém wszczęła się między Szwedem i Adolfem żywa rozmowa o politycznych okolicznościach świata, wczasie któréj Józef aż do naprzykrzenia ciągnął Adolfa za surdut i szeptał.

Tymczasem też dyliżans się zatrzymał. Józef wyjrzał zobaczyć, co to takiego było, i spotkał się twarz w twarz z francuzkim żandarmem w wielkiéj bermicy.

— Ktoś pan? zkąd? dokąd? *Messieurs et mes dames* jak się nazywacie?

Kobiety najpierw odpowiedziały na te zapytania, a gdy przyszła koléj na Adolfa ten nie mógł utaić swojéj niechęci, iż będąc Niemcem, w jego własnym kraju, zatrzymuje go i bada oficjalista francuzki.

— Mój monarcha rzecze żandarm, potrafi wszędzie wynaleść i ukarać swoich nieprzyjaciół, w téj mierze żaden kraj nie może mu być na przeszkodzie. Jak się pan nazywasz?

— Mniéjsza o to, zawoła Adolf z wymuszonym uśmiechem, widzisz waćpan we mnie butelkę, a w moim przyjacielu zatyczkę od niéj. ztąd wnieść

powinieneś, że musiemy być razem, i że jedno bez drugiego nie obejdzie się.

— *Sans badinage*, bardzo proszę, odpowie żandarm.

— Ja bynajmniéj nie żartuję, nazywam się Adolf Flasza, a mój przyjaciel Józef Korek. Ukończyliśmy nauki w uniwersytecie Lipskim, i zamierzyliśmy sobie osiąść w stolicy Westfalji; to jest wkrótkości cała nasza biografia.

W czasie gdy Adolf mówił z żandarmem, Józef spojrzał badawczo na Szweda. Nad swoje spodziewanie, nie dostrzegł na jego twarzy najmniejszego pomieszania, ale się przekonał, że małe jego ślepie śledziły każde poruszenie jego i Adolfa; lecz skoro tylko zobaczył, że Józef na niego uważa, spuścił oczy i przybrał minę najobojętniejszą.

— Proszę pokazać paszporta, panowie, rzecze daléj Francuz.

— Nie mamy żadnych, odezwie się skromnie Józef, mamy tylko nasze akademickie świadectwa.

Żandarm zanotował sobie na tablicze, co uważał potrzebném, z okazanych mu papierów, a potém zapytał: „gdzie panowie będą mieszkać w stolicy?“

— Niewiemy tego z pewnością, odrzekli obaj młodzieńcy.

Teraz zwrócił się żandarm do Szweda, który na uczynione sobie pytanie, dumnie odpowiedział: Jestem wolnym Szwedem, nazywam się Bernard Möllarström, interesa familijne są celem mojéj podróży.

Żandarm kiwnął głową, i rzekł obojętnie: „Aresztuję waćpana."

Szyderczo skrzywił się na to Szwed i zabierał się pójść za żandarmem, który obracając się jeszcze raz do podróżnych w dyliżansie, oświadczył: że gdyby potrzeba zaszła, przesłuchania ich jako świadków, natenczas zadosyć temu uczynić mają.

Francuz oddalił się z swoim więźniem, a dyliżans ruszył z miejsca.—Przebrzydły nikczemnik zawołała stara.

— Biedny Szwed, powiedziała młoda.

Józef zamyślił się i nic nie mówił.

III.

Mieszkanie na wysokości.

Febus domierzył już swojego celu, konie wyprzągł, faeton zatoczył do wozowni, sam zaś zasiadł przed pudłem z farbami, i najjaskrawszemi kolorami zaczął już powlekać niebo i ziemię, kiedy nasz dyliżans spuszczał się z pagórka dążąc do stolicy. Już widać było szlaban rogatkowy,

gdy Adolf i Józef kazali woźnicy zatrzymać, i dawszy mu więcéj jak podwójny trynkgeld, oświadczyli, że każą z poczty odebrać swoje tłomoczki; poczém wziąwszy się pod ręce, swobodnie weszli do miasta, jak gdyby z przechadzki wracali.

— Ja sądzę, rzecze Adolf, że miastu wszystko jedno będzie, czyli się dowie lub nie z gazety, że do niego przybyli dwaj studenci. Innaby rzecz wcale była, gdyby o nas doniesiono, że hrabia X, i baron Y, przybyli i raczyli stanąć w hotelu Burgundzkim.

Ta uwaga sprowadziła na twarz Józefa lekki uśmiech. Chciałbym, powie, widziéć, czyli kiedyś będziemy opuszczać to miasto, równie wesoło i tak ścisłą przyjaźnią połączeni, jak teraz kiedy do niego wchodzimy? czy też znajdziemy tu cel naszéj podróży, i jaki? Te pytania jakoś niechcący mi się nasuwają.

Adolf stanął, i z niejakąś powagą odpowiedział: Słuchaj Józefie, nasze dusze, nie szukając się, znalazły się pomiędzy mnóstwem uczni w Uniwersytecie. Przysięgam, że żadna siła ziemska, ani bogactwa, ani wysoki stopień, ani nic w świecie

nie rozłączy mię z tobą. Niechaj kość losu padnie na jaką chce stronę, nic nas nie rozdwoi.

— A gdyby też, przerwie Józef, miłość uczyniła nas rywalami?

— I wtenczas nie powinniśmy naszéj przyjaźni zrywać. Przypuśćmy, że miłość nasza obrała sobie jeden i ten sam przedmiot: natenczas ten któryby wzajemności nie doznał, poprzestać winien na przyjaźni ubóstwianéj istoty, kiedy ona drugiego miłość wieńczyć będzie.

— Nie śmiem zapewniać, rzecze Józef łagodnie, czylibym mógł mieć taką siłę charakteru, spodziewam się tylko, i pragnę, aby nam los oszczędził podobnego doświadczania. Ale patrz, zdaje mi się, że właśnie los nie jest nam nieprzychylny.

Adolf spojrzał na miejsce wskazane, i wyczytał na bramie porządnego domu, dużemi literami napisaną następującą kartę:

„Tu jest do najęcia mieszkanie dla dwóch kawalerów! dowiedzieć się u rządzcy domu.“

— Wybornie! ale nie zaszkodziłoby wprzód zewnątrz przyjrzeć się domowi, nim daléj postąpiemy? Mówiąc to cofnął się w tył kilka kroków i podniósł w górę oczy, niby mierząc wysokość

domu. Jednym razem zerwał z głowy czapkę, i nachylony jakby się kłaniał, znowu w górę spojrzał, ale zjawisko, z lekkim rumieńcem odeszło już od okna.

W zachwyceniu, a nawet z pewną niechęcią, obrócił się do Józefa mówiąc bardzo spiesznie: Czy ja dobrze widziałem, przyjacielu? czy to prawda albo czary? widziałem w oknie pierwszego piętra piękną żeglarkę dzisiejszego poranku. Na miłość Boską, niech kosztuje co chce, trzeba nam natychmiast nająć to mieszkanie, żeby nas jaki djabeł zazdrosny nie wyprzedził. O radości o rozkoszy, mogę więc być pod jednym dachem z tym aniołem."

— Piękna żeglarka, powiadasz, którą dziś rano widzieliśmy? Zastanówże się Adolfie, a gdyby też ona i na mojém sercu zrobiła wrażenie niezmazane, niezapomniane?

— Ba! już ja wiem że lubisz sobie pożartować; przecież ją tylko zdaleka widziałeś, i to kiedy biegła szybko. I wtém Adolf poskoczył do mieszkania rządcy domu; kiedy Józef za nim nadszedł, zastał go już w pełnéj rozmowie.

— Widzisz pan, mówił właśnie rządzca, poprzedni właściciel domu, był sobie astronomem, czyli jak my po prostu nazywamy, gwiazdarzem,

i kazał tam sobie obserwatorjum urządzić. Dla tego też to mieszkanie jest na dachu, i widok otwarty na około. Jest też ono dość obszerne, masz pan, pokój, gabinet, przedpokój, i prócz tego oddzielna komórka. Potrzeba tylko młodych, i mocnych nóg, żeby wydołały sześciu piętrom, i to jest właśnie sęk, na którym się zabaczył każdy amator tego mieszkania. Pominąwszy tę maleńką niedogodność, mieszkanie niemoże być nigdzie piękniéjsze. Widok nawet jest przepyszny...

— Kto mieszka na pierwszém piętrze, przerwie mu Adolf z niecierpliwością.

— Pan radca tajny Baron von Duckwitz.

— Czy ma dzieci?

— Jeden syn jest przy poselstwie w Kopenhadze, a drugi przeszłéj zimy umarł.

— A córek nie ma? wszak widziałem w oknie jakąś damę.

— Ma przy sobie dwie siostrzenice, jednę hrabiankę, a drugą z pochodzenia mieszczańskiego, o czém łatwo się można przekonać. Mieszczanka jest łagodna, bojaźliwa, powolna; hrabianka zaś, to sam ogień, ale przytém niewymownie

dobra; ta mogłaby przez dziesięć ścian zobaczyć co się za jedenastą dzieje.

— Dobrze, dobrze przyjacielu, oto masz zadatek, i prowadź nas na górę... ale jeszcze jedno: czy owe panny znajdowały się już tutaj od rana, czy też dopiero od południa przybyły?

— Prawda, były na wsi, i dopiero około godziny szóstéj przed wieczorem przyjechały.

— No, prowadź nas.

— Zaraz panie, tylko przyniosę od siebie klucze. I poszedł. „Żono, rzecze do swojéj połowicy kiedy ci się co przywidzi, to ci się zdaje żeś zobaczyła doprawdy. Otóż i mnie się widzi, że jeden z tych kawalerów zakochał się w jednéj z dziewcząt tajnego radcy. Powiadam ci, że chłopak pali się jak węgiel. Nawet mieszkania nie zobaczył, zaraz najął, i dał mi nowiuteńkiego talara na zadatek. No, kota w worku kupił!"

Rządca domu zadyszał się idąc za biegnącemi po schodach młodzieńcami. Przyszli nareszcie na miejsce, w którém zapomocą drzwi poziomych, wydostali się na pewien rodzaj belwederu żelaznemi poręczami opasanego: i miedzianą blachą wybitego.

Widok był zachwycający. Po za domami przerzynała się w błękitnym pasie rzeka, a na niéj czólna i baciki. Wieże wznosiły się wspaniale nad miastem, a w oddaleniu szary łańcuch gór, zamykał na około ten czarujący obraz. Na to wszystko Adolf tylko okiem rzucił.

— Czy ten ogród należy do domu; możnaż w nim bywać? zapytał rządcy. Ten ruszył ramionami. „Pan tajny Radca odpowie, najął go na swój własny użytek.“

— Dla kogóż tam nakryto stół na balkonie?

— Pan Baron zwykł przy nim wieczerzać z swojemi siostrzenicami, zawsze ile razy piękna pogoda.

— Przecież nie zapomniałeś mojéj perspektywy, powie Adolf obracając się do swego przyjaciela, kiedy rysowałeś dzisiaj nad wiadomém jeziorem; czy potrzebujesz jéj jeszcze?

— Masz ją, odpowie Józef ironicznie. i bez perspektywy widzę owe więzy, które trzymają w uwikłaniu od samego rana mojego przyjaciela.

— Mylisz się. Mała przygoda podobnego rodzaju, jest przyprawą kawalerskiego życia.

— Czy można wiedzieć, która z tych piękności zyskała twoje zajęcie. Dziewica północy, czy południa; Juno albo Psyche.

— Na Boga!... Adolf zaciął się, i przemówił potém do rządcy, który z ciekawością słuchał: Przyjacielu! masz talarka, wystaraj nam się kogo, coby nam dostarczył jeszcze dzisiaj potrzebnych mebli; i z tém go się pozbył.

— Na Boga!.... stoję jak Herkules na rozstajnéj drodze. Boskie postacie obudwóch, oczarowały mnie; między niemi wybór jest nader trudny.

— Ale koniecznie potrzebny, przerwie mu Józef.

— Bliższe zapoznanie się, może nasz wybór ustanowi.

— Radbym, i proszę o prędsze postanowienie; żebym wcześnie mógł wiedzieć, na którą z bogiń mam moją siatkę zarzucić.

— O ty gołąbku niewinny, zawoła Adolf, pójdź niech cię uściskam. Moja lekkomyślność zaraziła przecie wstydliwego młodzieńca, który nigdy dotąd ani z dziewczyną ani o niéj nie mówił, a dziś po raz pierwszy wydał się z tkliwém poruszeniem! Poczciwy przyjacielu! zawsze pierwsze miejsce trzymać będziesz w mojém sercu. Ale o mało nie zapomniałem o wszystkiém dla tych dziewcząt. Przyjrzyjmy się lepiéj naszemu

mieszkaniu. Jakie czyste powietrze tu na górze panuje...

— Z wyłączeniem dymu węgla kamiennego który z téj tu kuźni wybucha.

— Jak blisko nieba!

— Tak, tak, z pierwszéj ręki mieć będziemy deszcz i słotę.

— Jaki widok paradny.

— Osobliwie na ogród i na balkon.

— Psotniku! przy któremże oknie umieścisz twoje stalugi?

— A twój fortepian gdzie będzie stać?

— Pysznie się musi wydać, gdy w pełni księżyca, zagramy na tym belwederze, ty na gitarze ja na fletrowersie....

— A na dole nasze boginie będą się przysłuchiwały..... jedne tylko schody są trochę uciążliwe i przykre.

— Temu wnet zaradzi mechanik. Winda w kształcie łabędzia, umieszczona w otworze pomiędzy schodami, będzie nas wynosić na nasz Olimp. Jak dziś widzieliśmy łabędzi pływających po jeziorze, tak my pysznie będziemy po powietrzu bujać.

IV.

Srebrzysty łabędź.

— Ja się nie dam przeprzeć, rzecze Natalia do swojéj kuzynki, byłyśmy śledzone, i będziemy jeszcze. Wydrążone banie służyły niedawno za kryjówkę jakiemuś zręcznemu szpiegowi, i często napotykam obrzydliwą, odrażającą twarz z czarnemi faworytami, i malemi oczami siwemi, któreby mię chciały przejrzéć.

— Ten rysopis, odpowie Eugenia złośliwie nie ściąga się do młodego malarza, którego na brzegu jeziora widziałyśmy.

— O! któż to mówi, o owym cichym młodzieńcu, który prawie z niewieścią wstydliwością, ledwo śmiał podnieść na nas ciemne swoje oko?

— To on ma oczy ciemne? jakżeś to dostrzegła w pospiechu i zdaleka?

— Nie udawaj tylko Eugenio, widziałaś wprzód niżeli ja, że nowi lokatorowie gwiazdarni, są właśnie, ten sam młody malarz i jego przyjaciel Mars.

— Ten drugi nazywa się Mars? to znów dla mnie nowina!

— Co mnie obchodzi nazwisko czyje, nazwałam go Marsem, bo z powierzchowności podobny jest do Bozka wojny, a oczy jego błyskają jak strzały, które najczęściéj trafiają moją biedną kuzynkę.

— Figlarko! strzeż się, ciche wody brzegi rwą; twój wstydliwy malarz jest cicha woda.

— Ale on nie jest malarzem, jak mówi nasza Barbara, tylko prawnikiem, tak jak jego przyjaciel, który równie nie jest muzykiem, chociaż gra na flecie, tak miło, że go pewna osóbka z przyjemnoscią lubi słuchać.

— Z taką przyjemnością, jak pewna inna osóbka lubi się przysłuchiwać tkliwym dźwiękom gitary. Ale żart na stronę, ci panowie amatorowie i dyletanci, co na górze mieszkają, nie są dla nas bez jakowegoś pożytku, skoro ciebie z rysunkami, a mnie z muzyką na nowo pogodzili, bo przyznaj sama, że przez cały czas zaburzeń wojennych, obiedwie zaniedbałyśmy się nieco.

— Bezwątpienia, odpowie Natalia, częstokroć człowiek potrzebuje bodźca, zachęcenia, ażeby niekiedy nie popadł w letarg, który nigdy nie jest chwalebnym.

— Wiesz co, jeżeli nasz prawnik, tak prędko sprawy odrabia, jak maluje, to niedługo ściągnie na siebie zawiść kolegów. Ledwo od tygodnia tu mieszka, a już znacznie podmalował wielki obraz, jak to pokazuje dowód na gwiazdarni wystawiony. Jest to może artystowska próżność, godna zawsze pobłażania.

— Powinnam zbić to niesłuszne podejrzenie, zawoła szybko Natalia; czy mógł on inaczéj wystawić obraz do przesuszenia, jak na północ? widzisz, że się nie znasz na olejném malowaniu.

— Być może że masz słuszność, moja duszko, przeto nie unoś się zbytecznie! Jednakże muszę zobaczyć, jaki też przedmiot jest wymalowany; pozwól mi, proszę cię, twojéj lornetki Ah! ah! co widzę? nasze jeziorko, wysepka, i my same w baciku, w tym samym negliżu jakeśmy z kąpieli wracały; niezmiernie jestem zgorszoną, zawstydzoną. No, no, panie malarzu, to się nie godzi.

— Czy nie żartujesz kuzynko? pozwól zobaczyć... Natalja spojrzała przez lornetkę, i lekki rumieniec okrył jéj lica, kiedy się o rzeczywistości przekonała, i zarazem ujrzała skromnego malarza, który właśnie zdziwiony i jakby nieukontentowany, odwracał obraz na drugą stronę. Adolf mu tego figla wypłatał w czasie jego nieobecności.

Zjawienie się Józefa, sprawiło że nasze kobiety od okna odeszły. Eugienja siadła do fortepianu, i zaczęła grać ćwiczenia kramerowskie, lecz po chwili przestała, skarżąc się na nieznośny hałas w domu. „Już od samego rana sztukają i kołaczą jakby miano dom rozwalić.“ Echo w sieniach i na schodach podwajało ten

łoskot jeszcze bardziej. Eugienja pociągnęła za dzwonek.

— Powiedz mi moja Barbaro, cóż to za Cyklopy, założyli swój warsztat w naszym domu?

— Ah, łaskawa hrabianko, odpowie Barbara, to są dziwne, dziwne rzeczy. Długo nie mogłam się domyśléć coby znaczył ten hałas na obu końcach schodów, i pozaciągane grube mocne liny od góry do dołu. Na ostatku wyszła oliwa na wierzch. Wystaw sobie Pani, łaskawa hrabianko, dopierutko jeden z tych panów z góry, tam z gwiazdarni, szybkim lotem dostał się w momencie z dołu do góry, na pięknym srebrzysto połyskującym łabędziu. To było przepysznie, patrzéć jak ten urodziwy mężczyzna stał jakby bohater jaki na owym łabędziu. Taki wynalazek spodobał mi się prawdziwie! jużbym nawet chętnie mieszkała w gwiazdarni, bobym niepotrzebowała deptać schody po sześciu piętrach. W wolnéj przestrzeni na około któréj idą schody, stoi w sieni na dole coś nakształt szafy, w któréj się łabędź znajduje. Kto ma klucz, może bez żadnych czarów wzbić się w górę, trzeba tylko poruszyć jedną linę. Panowie Flaszą i Korek, nie muszą być tak ubodzy, jak się wydają.

— Flasza i korek? co powiesz Nataljo na te niebardzo estetyczne nazwiska?

— Powiem że ich właściciele mają oryginalne fantazje.

— Masz słuszność. Jednakże żal mi poniekąd że nie mieszkamy trochę wyżéj, aby sprobować téj machiny, wszelako muszę ją zobaczyć, ta rzecz zdaje mi się być bardzo powabną.

— Łaskawa hrabianko, zawoła Barbara, spojrzawszy na gwiazdarnią, cały belwederek napełnia się ciekawemi, którzy chcieli doświadczyć machiny. Muszę prosić pana Flaszę żeby i mnie pozwolił choć raz jeden. Niech no pani patrzy łaskawa hrabianko, nawet gruba Landratowa z drugiego piętra przyszła; o! o! sekretarz z dołu, i chudy professor z czwartego; co raz więcéj ludzi przybywa, łaskawa hrabianko!

— Łaskawa hrabianko, i zawsze łaskawa hrabianko. Pocóż zawsze do mnie tylko mówisz, czy nie możesz również i do mojéj najmilszéj kuzynki przemówić? czy ona tu mniéj znaczy? czy nie należy do naszéj familji? Ale samaś temu najwięcéj winna, droga Nataljo, czy to w domu, czy w towarzystwie, czy w teatrze, a nawet w kościele,

zawsze, starasz się okazywać jakąś niższość. Ubiorem nawet usiłujesz zachować odemnie różnicę. Rzadko kiedy raczysz się pokazać z głębi loży, a w kole towarzyszek, nikt nie usłyszy cię mówiącą, i nigdy nie zabłyśniesz kosztownym skarbem twoich wiadomości, odznaczającą się biegłością w obcych językach, twoją....

— Dość, dość, luba Eugieńjo, bo przed twoją wymową, będę musiała uciekać do mego pokoju.

— Nie, raz przecież zrzucić muszę, co mam na sercu. Czyliż zastanowiłaś się, że twoja zbyteczna uniżoność, wystawia mnie na najdotkliwszą krzywdę? czyliż każdy kto tylko nas widzi, nie uważa w tobie owego politowania godnego kopciuszka, a we mnie, dumnéj, wyniosłéj, a tém samém nienawistnéj pani? Wiele mnie to pracy i prożby kosztowała, nim cię przymusiłam, abyś względem mnie używała szacownego wyrazu „*Ty*." Niezasłużyłam na to, zdaje mi się, abym z twojéj przyczyny, w oczach świata, wystawioną była na podobne poniżenie.

Niebieskie oko Natalji, łzami zaszło, gdy się rzuciła na szyję łającéj ją przyjaciółki. Eugieńjo, kochana Eugieńjo, zawoła całując ją, jesteś

niesprawiedliwą. Mokolągwa nie powinna, a nawet nie zdoła naśladować bystrego lotu orła. Cóż ja temu winna, że w mojém położeniu, przeznaczona do życia mieszczańskiego, stosowne odebrałam wychowanie? Córka kupca nie powinna udawać hrabiny.

— Niezapominaj, moje serce, że miłość nie zna ani stanu, ani dostojeństwa. Nasze matki były siostrami, i my niemi jesteśmy. Kto byli nasi ojcowie, czyli oni stali koło tronu, czy za stołem kupieckim, to nas bynajmniej nie obchodzi. Czyliż nasz stryj czyni między nami jaką róźnicę, chyba tylko w tém, że cię więcéj kocha. Z jaką to on pilnością, uprzedzaniem, prawie z uszanowaniem z tobą się obchodzi; w porównaniu z tobą, nie doświadczam ja i dziesiątéj części tego wszystkiego; bo też muszę przyznać, żeś warta tego.

— Wyższości, nie zazdroszczę nikomu.

— I masz w tém słuszności. Nawet hrabiowska mitra cięży. Przypuśćmy naprzykład: żeby pan Flasza zechciał uczynić zemnie panią Flaszę, cały światby krzyczał na to; tymczasem niktby nie miał nic przeciwko temu, gdyby się o ciebie pan Korek oświadczył.

Nikt, powiadasz!......mówmy o czém inném, luba Eugienjo.—Patrz no, nawet nasz stryj znajduję się w gwiazdarni.....

— Pójdźmy do innego pokoju, rzecze Eugienja na wpół z niechęcią, żeby nie patrzéć na tę gwiazdarnią. Przystojność zabrania nam doświadczyć machiny napowietrznéj, dla tego też niechcę o niéj wiedziéć.

V.

Galerja obrazów.

— Nasi astronomowie, odezwie się tajny radca do swoich siostrzeniec, są wcale do rzeczy młodzi ludzie, i dosyć obznajmieni z prawnictwem. Prosili mię o protekcję, dla tego pozwoliłem sobie troszkę ich wyexaminować. Na honor! popisali się wyśmienicie. Ten wyższy,

zdaje mi się pan Flasza, mówi, dowodzi szybko, i sypie jak z rękawa mnóstwo trafnych maxym, to jest butelka prawdziwego szampana. Drugi nie czyni wprawdzie zaszczytu swojemu nazwisku, nie jest jednak owym lekkim korkiem który pływa po wodzie jak pianka. Jabym go porównał z butelkę Burgundczyka, który zwolna ale skutecznie i niezawodnie działa. Może im, wyrobię jakie supernumerarjuszostwo.

Eugienja spojrzała z uśmiechem na swoją kuzynkę, a baron daléj mówił: No moje dzieci, czyście gotowe? macie lornetki? Ależ panno Natalio, czy myślisz z katalogiem w ręku chodzić? Nie będziesz go potrzebowała. Inspektor galerji uważa sobie za zaszczyt oprowadzać nas i objaśniać obrazy.

— Ja tego właśnie nie lubię, dobry stryjaszku, odpowie Natalia—wolę ja z katalogiem w ręku przybiegać sale, stawać, oglądać dłużéj lub króćéj, niżeli słuchać suche objaśnienia po raz tysiączny powtarzane.

— Jak ci się podoba, moje dziécię! ale przynajmniéj oddaj katalog służącemu.

Natalja jednakże, schowała go do swojego woreczka.

Z dumą przechadzał się po wielkich salach królewskiéj galerji obrazów, z swojemi siostrzenicami, baron von Duckwitz, i z zadowoleniem uważał, że wszyscy obecni, więcéj zwracali uwagi na na żyjące wdzięki jego siostrzenic, i więcéj je podziwiali, niżeli martwą piękność obrazów. Jeden tylko szczególnie stanowił w téj mierze wyjątek, a tym był pan Korek. Zatopiony w obrazie Klaudjusza Lorrain, przedstawiającym pierwszego żeglarza.

Jak gdyby i od niego baron domagał się hołdu oddawanego przez wszystkich jego siostrzenicom, trącił w ramię zamyślonego.

„No, panie sąsiedzie z góry, jak się podoba nasza galerja?

Korek obejrzał się, skłonił, i odpowiedział spojrzawszy z ukosa: Obejmuje ona w sobie tyle pięknych rzeczy, że prawdziwie trudno wiedzieć gdzie najpierw ciekawe oko zwrócić potrzeba. Właśnie patrzał na Natalję, która prędko stanęła za swoją kuzynkę.

„Jak uważam panie Korek, nie masz katalogu, ani przewodnika. Przyłącz się do nas. Natalja będzie nam z katalogu objaśniać obrazy a pan jako artysta, udzielisz nam swoich uwag.

Łatwo zgadnąć, że Korek skwapliwie przyjął zaproszenie. Z chciwością słuchał głosu anielskiego czytającéj, a spostrzeżenia jakie obwieszczał, świadczyły o gruntownych wiadomościach, które z natchnieniem wyjawiał. W tenczas to Natalja z większą od wszystkich uwagą słuchała, a każdy jego wyraz, do głębi jéj duszy dochodził, w czém całéj usilności musiała dołożyć, aby się z swojemi uczuciami nie wydać. Niezadługo tajny radca, zmordowany długiém chodzeniem, przysiadł na sofie, a Natalja uważając, że jego nieobecność naraża ją na większe zbliżenie się niebezpiecznego malarza, chciała pójść za baronem, i wtém gdy się obróciła, spotkała przenikliwe spojrzenie jakiegoś człowieka, i wydała krzyk przeraźliwy.

Józef natychmiast przyskoczył, zapytując coby jéj było, tymczasem ów człowiek nagle się zwrócił, i uniknął spotkania z Józefem który nic nie widział prócz Natalii. „Co pani jest?“ powtórzył trwożliwie, szukając flaszeczki w kieszeni.

— O bardzo proszę, odpowie przymuszając się do uśmiechu, w saméj rzeczy, jestem dziecko, które się najniewinniejszéj rzeczy przelęknie. Jakiś człowiek, którego twarz nie raz już

spotkałam; cóż on biedny temu winien, że jego wzrok mnie straszy?

— Czy pani wierzysz w przeczucia, zapytał Józef. Zapewne pani czytałaś, że widok osławionego Santerra, zawsze omdłości przyprawiał nieszczęśliwą Królowę Antoninę, chociaż ten krwiożerca jeszcze tylko był zwyczajnym piwowarem, i przechadzał się w królewskim ogrodzie. Odraza jéj usprawiedliwiła się gdy późniéj ten sam człowiek, przeważnie wpływał na jéj i jéj męża stracenie.

— *Tempi passati*, powie Eugienja, już przeszły te smutne czasy, a ponieważ prócz tego, moja kuzynka nie jest królową, więc najpewniéj jéj przeczucie nie sprawdzi się. Jednakże chciałabym wiedzieć, kto to taki ten straszący człowiek?

— Czy mówisz o bladéj twarzy z czarnemi faworytami, wmieszał się baron, który właśnie na to nadszedł; ten co tam pod ścianą idzie? jeżeli się nie mylę, to jest Chasseloup, coś na kształt attaché przy francuzkim Jenerale B*.

Za pomocą szkiełka, poznał Józef swojego towarzysza w dyliżansie, owego Szweda, który teraz ukazywał się w charakterze Francuza, co mu

się nadzwyczajnie dziwném wydało, pomnąc na wypadki zaszłe w dyliżansie.

Odeszła Natalji chęć dalszego oglądania galerji, i na lekkie jéj w téj mierze napomknienie, baron natychmiast przystał na powrócenie do domu. Przyzwoitość kazała Józefowi pozostać. Korzystał on z téj chwili, chcąc wynaleść Szweda, i dowiedzieć się o istotnym jego charakterze. Ten widząc zbliżającego się Józefa, przystąpił do niego, mówiąc: „Domyślam się co pana do mnie sprowadza. Przyznam się, że obecnie nie jestem więcéj Szwedem Möllarström, ale Francuzem Chasseloup, jednakże tamto nazwisko jest prawdziwe. Moja porywcza otwartość w dyliżansie, spowodowała uwięzienie. Udało mi się wcześnie uwolnić, nim mnie władzom francuzkim wydano, ale poznałem zaraz, że wolność moja odtąd już nie jest bezpieczną. Chcąc ją sobie zapewnić, nie miałem innego środka, jak sam rzucić się w lwią paszczę, gdzie pewnie niktby się nie domyślił mię szukać. Wprawdzie użyć do tego musiałem podstępów i wybiegów. Przekonany jestem, że młody i szlachetny Niemiec, nie potępi mojego kroku. Daj mi pan słowo ho-

noru, że do dalszego czasu zamilczysz moje prawdziwe nazwisko.

— Nie ma potrzeby, mości panie, odrzekł Korek z nieopisaną dumą, albowiem istotnie nie jest mi znany jego prawdziwy charakter. Skłonił się obojętnie i odszedł, a jegomość dwuznaczny przyciął usta patrząc za nim.

VI.

NOCNA WIZYTA.

Tajny radca dawał bal. Światło jarzące błyszczało w wszystkich oknach, i powóz za powozem nadjeżdżał. Muzyka brzmiała, kucharze piekli się przed ogniskiem, służba biegała na wszystkie strony. Eugienja była słońcem, którego piękność wszystko rozognia, Natalja księżycem, którego łagodne światło sprzyja kochankom, baron zaś kometą, który szastał się posuwito przyj-

mując gości słownie do każdego godności. Między temi ostatniemi znajdował się Jenerał B*. Pomimo swoich 40 lat, nadskakiwał on z niezmordowaną wytrwałością, nadobnym siostrzenicom barona. Jak miód płynęły z przekwitłych ust jego, wszystkie podchlebne słówka, na jakie tylko język francuzki zdobyć się może. Co niedostawało z młodzieńczéj rzeskości, zastępować musiał bogaty mundur, ordery, i brylanty na palcach. Otworzył bal z Eugienją, królową uroczystości, pomimo to jednak, bojaźliwa i nieprzystępna Natalja, zdawała się go więcéj przyciągać. Być może, że mniemał, iż to powolne i nieprzebiegłe dziecko natury, łatwiejsze będzie do pokonania, dla tego też ani na krok jéj nie odstępował.

Wkońcu jednakże, udało się biednéj prześladowanéj, uwolnić się na chwilę odnatręta, i baron który jéj na chwilę z oka nie spuścił, znalazł ją w odległym pokoju samotnie w oknie stojącą, i poznał z rysów twarzy smutek i zniechęcenie. „Smutna jesteś, moje dziécię, zapyta.

— Ten przymus jest mi przykrym mój stryju, muszę bawić się z temi których nienawidzę.

— Wierzę ci, wierzę, luba Nataljo, ten bal przeklęty, byłem przymuszony dać go dzisiaj. Francuzi zaczęli już mnie miéć w podejrzeniu

że im nie sprzyjam. Dla naszéj spokojności musiałem ten krok uczynić; jeżeli mnie kochasz, znoś cierpliwie jeszcze parę godzin nienawistny ciężar, proszę cię, droga Nataljo.

Wtém wszedł służący i zawołał barona, a Natalja zostawiona sama, podniosła wzrok strapiony do księżyca, owego światka tylu skarg i żalów. Światło księżycowe odkryło jéj dwie nieruchome męzkie postacie na gwiazdarni, które się wpatrywały w oświecone okna pierwszego piętra. Natalja obtarłszy sobie lekko oczy chustką, odeszła.

Na górze Adolf zawołał: „Żebym był żołnierzem, tobym w tym momencie od wszystkich piorunów przeklinał. Podobny do Tantala, patrzę na stół suto zastawiony kurzącemi się potrawami, i szumiącém winem, a nie mogę go dosięgnąć. Jak ów pies co w wściekłéj zajadłości szczeka na księżyc; radbym wojnę wypowiedzieć tym oświeconym oknom. Mało nie oszaleję, kiedy wspomnę iż Eugienja tańczy z tym Jenerałem, który ją świętokrądzką dłonią obejmuje. Za ten bal, cierpieć już nie mogę tajnego radcy.“

— Biedny przyjacielu, odpowie Józef, złośliwa zazdrość dręczy ciebie; gdyby nie to, coby cię miał bal barona obchodzić?

— Prawda, rzecze Adolf, nie będę przed tobą taił, że Eugienja uczyniła na mnie wielkie wrażenie, ale czyli moje skromne hołdy mogły poniekąd poruszyć jéj serce, tego, pomimo wszelkiéj usilności, odkryć dotąd nie mogłem. Cicha mowa oczu i westchnień nie jest wystarczającą, a do ustnego porozumienia się nie mam sposobności.

— A możesz w tém zaradzić?

— Zaradzić? o mógłbym gdym chciał. Ale nie chcę prędzéj póki się nie przekonam, czy Eugienja nie sprzyja cokolwiek ubogiemu Flaszy.

— Jeżeli zmiana twojego losu, jest w twoim ręku, nie wiem dla czegobyś się miał ociągać?

— Mam w tém moje przywidzenia, które ci dłużéj jako memu najbliższemu przyjacielowi, ukrywać nie będę, Ja nie jestem tém czém się być wydaję...

— A, a, więc znów dwóznaczność!... przecież nie jesteś taki Möllarström, albo Chasseloup?

— Nie przerywaj mi. W dzisiejszych czasach uciemiężenia Niemiec, chciałem zostać człowiekiem swobodnym. Tego jednak nie mógłbym dopiąć, gdybym...

— Nie uważasz tam od wschodu jasności?

— Co mnie to ma obchodzić, jedna tylko jasność w pokojach barona czyni mnie niespokojnym.

— Nie słyszałeś w odległości grzmotu dział?

— Ja tylko ustawicznie słyszę nieznośne rzępolenie basów. Ale dajmy temu pokój, pozwól mi mówić, kiedy właśnie jestem usposobiony do zwierzenia się.

Mocne bębnienie jenerał-marszu po ulicach, nie dało mówić Adolfowi. U tajnego radcy powstało zamięszanie; muzyka ucichła. Służący rozbiegli się żeby powziąść wiadomość o przyczynie alarmu, a przeraźliwy głos Jenerała, wołał przez otwarte okno na Chasseloup. Przybyły właśnie Adjutant przywrócił spokojność i porządek, doniesieniem, że niewielki oddział partyzancki odważył się napaść na miasto, ale został już pobity, a dla zasłonienia swojego odwro-

tu, podpalił wioskę, z czego powstała łuna w stronie wschodniéj.

— Może łaskawi goście, życzą sobie przypatrzyć się własnemi oczami, ci panowie co mieszkają w gwiazdarni pozwolili mi swojéj napowietrznéj machiny, i powierzyli klucz od łabędzia.

— Machina napowietrzna? klucz od łabędzia? wołała ciekawie niewieścia połowa towarzystwa.

— Zaręczam paniom, utrzymywał baron, że to jest przewyborny pomysł. Sądzę, że to małe *intermezzo* zatrze ślady lekkiego przestraszenia, które naszą zabawę na moment przerwało. Noc jest widna i ciepła, a więc nie można się obawiać zaziębienia, Pozwólcie państwo, będziemy się wznosić w powietrze parami.

Gdy jeden z służących pobiegł na górę uprzedzić naszych młodzieńców o spodziewanych odwiedzinach, inny przygotował łabędzia, i podniósł go do pierwszego piętra, gdzie całe towarzystwo przyjęło go wśród pochwał. Jedna tylko Natalja, byłaby go przeklęła, gdyby zbyteczna dobroć jéj serca, mogła na to pozwolić; albowiem przypadło na nią wsiąść najpierwéj z obrzydłym Jenerałem B*, a w téj mierze nie

można było się żadnym sposobem wymówić. Jak brylant w kosztownéj oprawie, jaśniała bogato ustrojona głowa Natalji z pod zarzuconéj chustki. Z uśmiechem słodkim zadowolnienia, siadł Jenerał obok niéj, prawą ręką ujął ją pod pachę, a w lewéj trzymał zapaloną świecę, która zgasła, czy to naumyślnie, czyli też przez szybki pęd powietrza. Pod zasłoną otaczającéj na około ciemności, oraz zachwycony tak bliskiém sam na sam, ośmielił się próżny Francuz, uczynić ogniste wyznanie miłości, przy czém pozwolił sobie śmielszego objęcia w pół Natalji.

Wielkie szczęście, że właśnie łabędź dobiegł do mety, pełna zgrozy, za tak bezwstydną natarczywość, byłaby Natalja wyskoczyła nieuważnie. Byłaby ona natychmiast po schodach na dół zeszła, ale ją obadwaj młodzieńcy wysadzili. Zaledwie była w stanie, w swojém oburzeniu, przeprosić młodzieńców za najście, i prosić o pokazanie palącéj się wioski. Młodzi przyjaciele natychmiast dopełnili jéj życzenia, i poprowadzili w stronę z któréj najlepiéj mogła się przypatrzyć pożarowi, gdy tymczasem Jenerał w tyle zostawiony, mruczał pod nosem. W krótce gwiazdarnia napełniła się gośćmi, a głośna i ożywiona rozmowa zajęła wszystkich. Natalja

chciała właśnie z téj chwili korzystać, i wymknąć się niepostrzeżona, co też jéj się udało, i tylko Korek dostrzegł jéj zamiar.

— Pani życzysz sobie oddalić się, rzecze łagodnie.

— Tak jest, boję się żeby mię chłód wieczorny nieogarnął.

— Niechcesz pani wsiąść do machiny napowietrznéj?

— Nie, nie, odpowie Natalja prędko, w głowie mi się kręci.

— Pozwól więc pani przynajmniej żebym na schodach poświecił. Mówiąc to, Korek wziął świécę i poszedł naprzód. Natalja w milczeniu udała się za nim. Z jakąż roskoszą przyglądał się małym nóżkom, po schodach skaczącym. Lekkie westchnienie oznajmiło, że już do celu swéj podróży doszli. O, wtenczas życzyłby sobie Józef żeby schody końca nie miały, jak w wieży Babylońskiéj.

— Bardzo panu dziękuję, rzecze Natalja we drzwiach swojego mieszkania. Dobra noc panie Korek.

Zamyślony wstępował Józef zwolna na górę. Świéca mu zgasła. W tém usłyszał głos Jenerała,

który wsiadając do machiny, mówił do dwóznacznego Chasseloup: „Co to za jedni dwaj młodzi awanturnicy, z któremi piękne panny tego domu są w takiéj poufałości. Spuszczenie się machiny nie doniosło mu odpowiedzi.

W gwiazdarni nikogo już nie było, tylko uszczęśliwiony Adolf. Upojony roskoszą rzucił on się w objęcia swego przyjaciela. „Czy uważałeś moje bóstwo, jaśniejące blaskiem anielskim. Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć istoty równie pięknéj i dobréj. Łagodność jéj duszy, przebijała się z ognistych oczu, kiedy zaczęła ze mną rozmawiać. Moją być musi, dłużéj nie będę mego szczęścia opóźniał, skoro tak błogo się do mnie uśmiecha. Muszę ci odkryć ważną tajemnicę.“

Resztę nocy spędzili obaj przyjaciele na gawędce.

VII.

Niespodziane zejście.

Ogłoszone zawieszenie broni, dało mocarstwom wypoczynek. Siostrzenice tajnego radcy korzystając z téj pory, wyjechały na wieś, aby uniknąć nieustannej natrętności Jenerała. Nieobecność ich, rozpostarła w domu głuchą ciszę, a smutek w gwiazdarni. Kilka dni znosił Adolf

cierpliwie nudy, nakoniec kazał najętemu człowiekowi przyprowadzić parę wierzchowych koni.

— Pójdź, rzecze do Józefa, trzeba przyspieszyć cel mego życzenia. Dziś los mój musi być rozstrzygnięty. Jednakże czuję, że nie mam siły do tego przedsiewzięcia, jestem jak dziecko potrzebujące pomocy, téj więc nie odmawiaj mi. Poprowadź mój interes, masz ode mnie więcéj rozwagi i zimnéj krwi, Z zupełném zaufaniem powierzam mój los w twoje ręce, ale nie zapominaj, że moja pomyślność jak najściśléj jest złączona z twoją.

Dosiedli więc koni i pojechali. Jeszcze przed południem stanęli na miejscu. Adolf pozostał w karczmie, gdzie z niespokojnością mierzył krokami dane mu pokoje, tymczasem Józef udał się do pałacu, i kazał prosić Natalji o pozwolenie krótkiéj z sobą rozmowy. Barbara zeszła do niego oświadczając, że panna Natalja popłynęła z hrabianką na wysepkę, i że za godzinę najdaléj powrócą. Wracając Józef do karczmy, chciał jeszcze zobaczyć brzeg jeziorka czarujący, ale jakże się przeląkł i zarazem ucieszył, kiedy na tém samém miejscu gdzie sam dawniej rysował, ujrzał Natalję siedzącą w głębokiém zamyśleniu.

Stąpanie jego kroków, obudziło ją z marzenia.

— Pan tutaj, panie Korek? zawoła powstając. Czy jakie nieszczęście spotkało mojego stryja?

— Nie, odpowie Józef, jeżelim się ośmielił przerywać spokojność pani, to tylko dla tego, że chciałem się upewnić w jednéj nader ważnéj okoliczności, i rachowałem w téj mierze na jéj dobroć.

— Jakaż to ważna okoliczność, w któréjbym ja mogła dać objaśnienie?

— Pozwól pani, a w krótkości całą rzecz wyrażę. Mojego przyjaciela Adolfa, trawi niepokonana skłonność do dostojnéj kuzynki pani. Jakkolwiek w każdym innym razie jest on śmiały, w téj jednakże stanowczéj dla niego okoliczności, nie ma do odwagi prowadzenia osobiście interesu. Dla tego włożył na mnie obowiązek, abym od pani powziął wiadomość, czyli ubieganie się jego o rękę panny Eugienji, może być pomyślnym skutkiem uwieńczone. Widzisz pani, że z zupełną otwartością, i bez ogródki do celu zmierzam.

— Panie Korek, odpowie Natalja z niejaką urazą i wyniosłością, to za wiele śmiałości.

— Masz pani słuszność; ważność przedmiotu tak mnie zajęła, że o głównéj rzeczy przepomniałem. Prawda, żeby było to szaleństwem, aby kandydat prawa, Adolf Flasza, starał się o rękę hrabianki Eugenji; ale nazwisko to jest przybrane, a mój przyjaciel jest.... Hrabia Lossum. Jako taki, jako niezawisły, pan znakomitego majątku, życzy on sobie dowiedzieć się od pani, czy ręka i serce hrabianki jeszcze są wolne, i mogą być dla niego przychylne.

— Hrabia Lossum?....a pan? zapyta Natalja roztarguiona.

— Ja jestem, tak jak zawsze, ubogi Józef Korek.

— Przebacz pan, moje roztargnienie uczyniło nie rozważne zapytanie.

— Jakaż jest pocieszająca odpowiedź dla mego przyjaciela?

— Panie Korek, panie Korek! stawiasz mnie w bardzo przykre położenie. Czyż ja mam być badawczynią serca mojéj kuzynki?

— O! wzrok niewieści jest w téj mierze niezawodnym, i wszystko dostrzeże.

Natalja spuściła na dół oczy z pomieszaniem i milczała. Po niejakié chwili rzecze: Rozumiem że nie będę zmyślać, jeżeli pana zapewnię, iż serce mojéj kuzynki zdaje się być dotyczas poniekąd wolne.

— Poniekąd?.... zdaje się pani?....

— Ale nie, przerwie Natalja z roztargnieniem, nie raz mówiła ona z niejakiem zajęciém, o....• o przyjacielu pańskim, i dla tego, mniemam... • rozumiem.....niech pan radzi hrabiemu, żeby się sam udał do Eugieńji,....a jeszcze lepiéj do jéj stryja.

— O jakże mnie pani pocieszasz. Szczęśliwy Lossum. Ale ja mu przyrzekłem jeszcze, podjąć się drugiéj propozycji, która jest dla mnie nader uciążliwa, bo się mnie samego tycze.

— Pana samego, powie Natalja z natężoną uwagą.

— Hrabia był tak łaskaw, że mnie mianował Jeneralnym Intendentem swoich dóbr.

— To bardzo szlachetnie z jego strony, winszuję panie Korek.

— W téj mierze hrabia miał nieco miłości własnéj; zdawało mu się bowiem, że staranie jego o rękę Eugieńji wtenczasby dopiero naj-

pomyślniejsze było, gdybyś i pani mogła pozostać złączoną z swoją kuzynką.

— Jak to? nie rozumiem pana! rzecze z bojaźnią Natalja.

— Lossum uważać się będzie za zupełnie szczęśliwego, wtenczas dopiero, gdy dwaj przyjaciele, i dwie przyjaciółki, jednakowy los podzielać będą, Jeśli zatém pani.....

Na drżących jego wargach obumarł dalszy wątek mowy. Natalja także oniemiała.

— Pani zawoła Korek bojaźliwie, a łzą zroszone oko spotkało spojrzenie Natalji, i jak iskra elektryczna przejęło ją, kocham cię, jak nigdy człowiek więcej kochać nie może. Żaden wyraz nie określi uczuć mojego serca. Jestem uczciwy, prosty, rzetelny. Jeżeli pani zechcesz przyjąć tę rękę, będzie ona cię wiernie, z miłością, cierpliwie i pracowicie prowadzić po różach i cierniach życia. Świetnego losu nie jestem w stanie ofiarować, ale może być dostatecznym do zapewnienia spokojnéj domowéj szczęśliwości. Smiałość moja jest nader wielka, uznaję to, jednak.....oh biada mi, pani się gniewasz, odwracasz się......płaczesz, o ja nieszczęśliwy!.

— Panie Korek, zawoła Natalja nieprzytomna sobie, opuść mię, zaklinam cię!....O Boże, czy już do tego przyszło?

— Pani, przerwie obrażony Korek, tak gwałtownego wybuchu nienawiści, niespodziewałem się......

— To nie jest nienawiść, mój Boże! jakżem nieszczęśliwa,...

— Gdybym przewidział, że moja miłość ma panią czynić nieszczęśliwą, byłbym moje wyznanie w głębi serca ukrył. Rozumiałem, że jednakowy nasz stan, nie będzie przeszkodą.

— Nie dręcz mnie, panie, takiemi wyrzutami..

— Nowa moja posada przyniesie mi wprawdzie tylko 1100 talarów rocznego dochodu....

— Dosyć tego do swobodnego życia.

— Trzebaż żeby mój przodek nosił nieszczęsne nazwisko Korek?

— Ono nie hańbi.

— A więc serce pani już jest zajęte.

— Nie, nie, mnie niewolno mieć serca! zostaw mnie pan mojemu losowi.

— Pani, doda Korek z wzruszeniem; nie cenię nadto mojéj wartości, nie jestem zarozumia-

ły, a przecież, mniemałem, że moja szlachetna, rzetelna miłość, zasłużyła na łagodniéjsze, rzecz wyjaśniające wyrazy.

— Nie wolno mi, powie mu z płaczem Natalja. Straszna tajemnica przyciska mnie. Gdybym nawet uledz miała pod ciężarem mojego udręczenia..... nie mogę.

— Czy i w przyszłości nawet, nie mogę się spodziewać odmiany jéj teraźniéjszego postanowienia?

— Nigdy! nigdy! odpowie z boleścią. Tylko samo nieszczęście mogłabym panu sprawić, dla tego, unikaj mojego spotkania. Spełnij moją usilną prosbę, jeżeli.... mnie prawdziwie kochasz.

— Dobrze! odpowie Korek z stałością. Jednakże żegnając panią, czy mam z sobą jéj zagniewanie unieść?

Ze łkaniem przeczyła Natalja poruszeniem głowy.

— A więc proszę mi podać dłoń zgody.

Podała mu ją ze drżeniem, a Korek wycisnął na niéj pocalowanie pełne najgorętszéj miłości.

-- Bywaj zdrowa!..... Odszedł, a biedne dziewcze, zalane łzami, załamawszy ręce, zagłębiło się w gęstwinie drzew.

Korek oddalał się zwolna, wtém zdało mu się, że usłyszał głos Natalji wzywający ratunku. Jak strzała poskoczył na miejsce z którego głos go dochodził; jeszcze był czas dwóch łotrów usiłowało gwałtem zawlec Natalję do powozu niedaleko będącego.

— Stój, zawołał głosem piorunującym; łotry spojrzeli i zobaczyli wymierzone do siebie dwie krucice dubeltowe.

— Puszczajcie natychmiast! krzyknął odwodząc kurki. Zwykle zbrodniarza pokona spokojna odwaga, i teraz majestatyczna odwaga jednego człowieka, zmusiła hultajów do ucieczki.

— Daj mi pani rękę, powie Korek do drżącéj z przelęknienia, dokąd mam panią odprowadzić. Wskazała w stronę pałacu. Nawał żałomnych myśli zajmował obie osoby, kiedy w milczeniu, głęboko wzruszone, zbliżały się do pałacu. Przy wchodzie Natalja stanęła.

-- Byłeś moim obrońcą, rzecze, czémże się zdołam wywdzięczyć. Spojrzawszy po sobie,

zdjęła szybko ze szyj cienki łańcuszek złoty, u którego wisiał krzyżyk rubinowy, i podając go drżącą ręką uszczęśliwionemu Korkowi, przemówiła z cicha. „Przyjm mały dowód mojéj wdzięczności.

Korek poniósł do ust drogi upominek, i nagle oddalił się.

VIII.

Daremne przymówienie się.

— Moja Eugienja jest aniołem, mówił Lossum do swego przyjaciela, prawie nie jestem jéj godzien. Od czasu kiedy mam sposobność przypatrzenia się jéj lepiéj, znajduję, że piękność jéj

duszy, przewyższa piękność ciała. Żałuję że nie mogłeś być niewidomym świadkiem naszego pierwszego porozumienia się. Z jaką słodką skromnością, przyjmowała ogniste wyznanie mojéj miłosci! lekkie wzruszenie przebiegło ją, kiedy z zarumienieniem czyniła mi swoje wyznanie, a z drżeniem rzuciła się w moje objęcia. Takiego upojenia niebieskiéj roskoszy, raz tylko w życiu kosztować można, a opisać niepodobna. Nie tała przedemną, że ubogi Flasza zajmował miejsce w jéj sercu, i dla tego błogosławię z wdzięcznością pomysł ukrycia mojego stanu pod skromném incognito. Bez tego, trudno abym kiedy mógł posiadać tak drogą perłę, i takiego jak ty przyjaciela. Bo powiedz sam, czylibyś bogatemu hrabiemu Lossum darował to miłe zaufanie, w takim stopniu, w jakim użyczyłeś równemu sobie w godności i majątku Flaszy. Okryłem się tajemnicą z różnych powodów, równie rozsądnych jak przygodnych, i pozostanę w niéj aż do dnia ślubu, i na to mam zezwolenie mojéj narzeczonéj i jéj stryja. Jeżeliby wypadki zaczynającéj się z takiém wysileniem wojny, miały paść niepomyślnie dla Niemiec, natenczas wyrzeknę się wszelkiego w kraju znaczenia, i żyć będę w zaciszu dla miłości, przy-

jaźni i dla moich poddanych, dopóki szczęśliwsza gwiazda nie zabłyśnie. Taki jest mój plan, w którym i ty kochany Józefie jesteś objęty, albowiem do naszéj zobopolnéj szczęśliwości, koniecznie potrzeba żebyś się połączył z twoją uwielbianą Natalją. Jeżeli można Eugieńję przyrównać do świetnéj centyfolji, bez zaprzeczenia Natalja podobną będzie do skromnego, ale wonnego fijołka. Ona musi być twoją! Eugieńja i ja połączemy nasze usiłowania w téj mierze. Tylko nie potrząsaj głową. To są tylko figle panieńskie..... zbyteczna bojaźliwość skromnéj dziewicy. Ja, mężczyzna, pojąć tego nie mogę, jakim sposobem ona opierać się jeszcze może takiemu blaskowi twoich oczów, Przecież w twojéj postaci, raczéj Appolina nie zaś stracha na ptaki uważać należałoby. Spodziewam się że ta niepojęta dziewczyna podda się nareszcie naszym wspólnym naleganiom.

— O, w tém ją tylko oszczędzajcie, zawoła Korek. Musiałbym ją nienawidzieć, gdyby waszym namowom udać się miało to, czego moje najgorętsze prośby nie wymogły.

— Nie troszczę się o to. Zostaw nam z zaufaniem skłonienie Natalji na twoją stronę.

W saméj istocie, młodzi narzeczeni przypuścili szturm mocny do serca Natalji, ale to jeszcze się niepoddawało. Wśród jednego z podobnych attaków, w których łzy i prośby Natalji górę odnosiły, wszedł raz tajny radca do siostrzenic, mówiąc z widoczném zadowoleniem.

— Moje damy, powiadają, że czas trawi róże, a ja dodam, że i młodocianą piękność. Chcąc sobie zachować pamiątkę waszych wdzięków, obecnie kwitnących, pragnąłbym posiadać wasze portrety. Mam jeszcze inną przyczynę tego życzenia. Czy mogę wiedzieć, jak długo jeszcze cieszyć się będę mógł posiadaniem was przy sobie? Eugienja umysliła sobie z pewnym niespodzianym gwiazdarzem porzucić mnie, a kto wie, co się wkrótce z Natalją stanie?

— Co się tycze Natalji, mylisz się bardzo stryjaszku, przerwie mu Eugienja; wprawdzie na pierwszy rzut oka, zdaje się ona być czułą, skromną i cichą jak baranek, ale ja powiadam ci stryjaszku, że jeszcze nie widziałam upartszéj, zarozumialszéj i okrutniejszéj.

— Tylko ty mi nie czaruj mojego gołąbka, pogroził baron, dobrzeby było, żeby wszystkie dziewczęta do niéj były podobne.

— Tak zapewne, już ja wiem, że stryj zawsze trzyma stronę swojéj ulubienicy, chociażby nie miała nawet słuszności.

— *Taisez-vous ma chère*! Wróćmy do mojéj propozycji. Jak sądzisz kochana Nataljo, może pan Korek z góry, zna się tak dobrze na miniaturowéj robocie, jak na olejnéj. Gdyby tak było, możnaby mu poruczyć to dzieło, bo mniemam, że obiedwie wolałybyście dać się malować jemu jak komu obcemu...

— Na miłość boską, nie, nigdy, zawoła Natalja przelękniona, z niezwykłą żywością.

— Co tobie moje dziecko? krzyknie baron zdziwiony. Jeśli masz co przeciwko temu człowiekowi, to łatwo znaleść innego, tu nie ma nad czém się unosić.

— Otóż widzisz stryjaszku, przerwie Eugienja, jasny dowód tego com dopiero utrzymywała. Myślałby kto, z takiego postępowania Natalji, że pan Korek jest zjadliwą żmiją, nie zaś przystojnym, ukształconym i skromnym młodzieńcem. Jeszcze więcéj będziesz się dziwił, jak się dowiesz, że mój Adolf zrobił swojego serdecznego przyjaciela jeneralnym intendentem swoich dóbr, z znakomitą pensją, i że najgorętszém naszém jest życzeniem, mieć Natalję zawsze przy nas,

dla czego też pragnęlibyśmy żeby ona uszczęśliwiła swoją ręką, dobrego Korka, który ją ubóstwia, ale.....

Baron osłupiał z przerażenia na tę mowę. Z ustami otwartemi, oczami wyszczerzonemi, rękami wyprężonemi, mógłby on w téj chwili służyć biegłemu artyście, za doskonały model zadziwionego. Długo nie mógł słowa przemówić, nakoniec odzyskawszy władzę języka:

— Nieszczęśliwa, zawoła, cożeś to powiedziała? czy zasłużyłem na to, abyś najpiękniejszą latorośl z mojego wieńca pociechy niszczyła? Niewdzięczna! za mojemi oczami odważasz się knuć spisek na moją zgubę? precz niegodna.

Eugieńja skamieniała, patrząc raz na rzucającego się stryja, to znów na zapłakaną Natalję. „Czy ja od zmysłów odeszłam, czy też urok jaki padł na ten dom? Stryju, kochany stryju, cóż mam myśléć o tobie? Upamiętajże się przecież, i zastanów się: Jeneralny intendent, pochodzenia miejskiego, ale poczciwy, Józef Korek, pragnie z mieszczanką również poczciwą Natalją Andrich, córką Ferdynanda Andrich kupca z Hamburga, ożenić się; czy słyszysz stryjaszku, ożenić się. Czy to jest grzech śmiertelny? mnie się widzi że to los szczęśliwy.

— Milcz, nierozsądna, nie wiesz....Boże! jaka bezwstydna śmiałość!..

— Sięgać aż do córki kupca, przerwie Eugienja.

— Powiadam ci, zawoła w uniesieniu tajny radca, ta....ta córka kupca przeważy dwadzieścia hrabianek takich jak ty!...

— Czy tak? rzecze przewlekle Eugienja. Teraz zaczynam się domyślać rzeczy, niebardzo pociesznéj. Pan stryjaszek sam się zakochał w swojéj siostrzenicy, to cała tajemnica! ależ biedny stryjaszku; czy myślisz, że ci dadzą dyspensę na takie związki, a prócz tego, z przeproszeniem, jakież porównanie ty a młody nasz Antynous.

— Bezwstydny! z swojém przeklętém nazwiskiem! żeby tu o nim nigdy niewspomniano! Musi ustąpić zwodziciel z domu, z miasta....a nawet z kraju...

— Czemu nie zeświata wcale? byłby to najbezpieczniejszy sposób pozbycia się rywala. Stryju, stryju, gdybym nie znala dobroci twojego serca, wzięłabym cię teraz za mściwego, krwi chciwego Włocha raczéj, jak za Niemca prawego i rzetelnego.

— Nie znasz mnie jeszcze. Ktokolwiek mnie dotknie z téj strony, niechaj mnie unika ostrożnie.

— A więc zgadłam, mówiła Eugienja sama do siebie, ktoby temu dał wiarę,.., taki starzec... w strji w swojéj siostrzenicy,.... to niesłychane.

Teraz dopiero wpadła zagniewanemu baronowi w oczy, zapłakana nad krosienkami Natalja. Ostrożnie, jakby z uszanowaniem, zbliżył się do niéj.

— I cóż na to powie wasza....ty....Nataljo.... najdroższa!....cóż powiesz na tę niegodziwość?

— Natalja odjęła od oczów zwilżoną łzami chustkę, i łagodnie, ale z godnością odpowiedziała: Wiem dobrze, co mi czynić wypada, ofiarę choćby najtrudniejszą spełnić zdołam.

— Baron podskoczył z radości. Te wyrazy, rzekł, są balsamem na moje zranione serce, i godzą mnie z życiem napowrót. Wprawdzie należało się spodziewać podobnéj odpowiedzi, od mojéj Natalji. No już ani słowa więcéj o tym....o téj tam zatyczce do butelki z góry. Basta, już rzecz raz na zawsze skończona,.....rozumiesz Eugienjo?

— Ha! słyszę niestety, odpowie ta z niechęcią. Ale dla czego koniecznie mamy się dać malować w miniaturze? Ja taki rodzaj najmniéj lubię, i ile wiem, Natalja także. Portret olejny, w wielkości naturalnéj, przynajmniéj do połowy ciała, ma nierównie więcéj wartości, niżeli medaljon, w którym twarz ciasno i skupiona wydaje się.

— Co do ciebie, powie baron, masz wolny wybór. Ale portret Natalji musi być koniecznie w miniaturze. Bo, dodał z cicha do Natalji, będzie on daleko wysłany, jak to zwykle się czyni w pewnych okolicznościach; już zrozumiałaś mnie.

— Natalja zbladła, spoglądając badawczo na swojego stryja.

— Tak, tak, rzecze tenże daléj, już to tak być musi. Otrzymałem polecenie od jego......połknął resztę niedokończonéj mowy, która nabawiła Natalję dręczącą niespokojnością.

IX.

Nieproszony gość.

Najsławniejszy artysta w stolicy, malował piękne siostrzenice barona. Już ani wzmianki nie było o Korku, który żył teraz w zupełnéj samotności, zajmując się wykończeniem zaczętego krajobrazu. Jedynie pod zasłoną ciemnego wie-

czyi wychodził, lecz zawsze najtroskliwiéj unikał spotkania z Natalją. Nadobna ta dziewica utraciła swoją młodocianą krasę, usiłowania jéj kuzynki szczęśliwszéj, pozostały bezskutecznemi, nic ją już do dawniéjszéj wesołości przywrócić nie zdołało. Nakoniec i sam baron, pomimo licznych zatrudnień swoich, dostrzegł zamyślenie się jéj głębokie. Z czułością wynajdywał on wszelkie sposobności, żeby ją cokolwiek rozerwać, jednakże z widocznym tylko przymusem bywała na teatrze, na balach, wieczorach, koncertach i innych zabawach wyższego świata, na których zawsze, według dawnego zwyczaju, obierała sobie miejsce niepozorne.

Pewnego wieczora, zatopiona w myślach, znajdowała się Natalja na koncercie, który najświetniejsze zgromadzenie ściągnął, z powodu znakomitéj sławy popisującego się artysty. Jéj kuzynka bliżéj orkiestry siedząca, prowadziła zajmującą rozmowę z swoim narzeczonym hrabią Lossum, gdy niedawno przyjęty lokaj zbliżył się do zamyślonéj, i pocichu rzekł: Pan tajny radca każe panią prosić, żebyś natychmiast powróciła do domu, ale tak żeby tego nikt nie spostrzegł. Ktoś przyjechał i obecność prędka pani, jest koniecznie potrzebną; kareta czeka.

Szybko powstała Natalja i nieznacznie wyszła z sali. Na dole czekał na nią służący, który pomagał jéj wsiąść do pojazdu. Ale w tym samym momencie, kiedy Natalja miała już wsiadać, uczuła się schwyconą silną ręką za ramie, i z niemałém przelęknieniem, ale i pociechą, usłyszała znajomy sobie głos. „Pani, przemówił łagodnie ale z mocą Korek, niepowierzaj się temu nikczemnikowi, którego złoto pana B* na twoją zgubę przekupiło. Nie do stryja, ale raczéj w objęcia zwodziciela, miał panią zawieść pojazd, który do niéj nawet nie należy.

Przestraszona, odskoczyła Natalja na bok, a zawstydzony lokaj uciekł.

— Czy pani życzy sobie powrócić na salę, lub też udać się do domu? zapyta Korek.

Głos ten pocieszający, wzruszył do głębi serce Natalji, i nie była w stanie odpowiedzieć, podała mu w milczeniu rękę, którą tenże z widoczném drżeniem przyjął. Oboje jedném uczuciem przejęci, w milczeniu postępowali. Na zakręcie ulicy dość ciemnéj i bezludnéj, spostrzegli trzech ludzi, i na ich czele zdradzieckiego lokaja, który wskazując palcem na idących, mówił: oto idą, idą.“

Natychmiast przyskoczyli wszyscy i gwałtem chcieli wyrwać Natalję z rąk Korka, ale niespodzianie przyskoczyło pięciu innych, którzy niepostrzeżeni szli za samotną parą, i obronili ją. Bez przeszkody dostał się Korek z swoją nadobną towarzyszkę do jéj mieszkania, na którego progu Natalja walczyła jeszcze z sobą, nie mogąc znaleść na podziękowanie swojemu obrońcy wyrazów, któremiby ani wewnętrznego uczucia niezdradził, ani biednemu młodzieńcowi nie wskrzesić zwodniczéj nadziei. Z tego kłopotu, wybawiła ją skromność Józefa, który uchwycił za dzwonek, a skoro zobaczył Barbarę ze światłem, niepostrzeżony znikł.

Tego wieczora Lossum późno wrócił do domu, i zastał już przyjaciela śpiącego; ażeby mu więc nie przeszkodzić, wyszedł na belwederek, rozmawiać o swojéj miłości z księżycem i gwiazdami. Z tego zachwycenia wyrwało go nagle lekkie kołatanie do drzwi. Wstał prędko otworzyć; zwierzchnia część mężczyzny ukazała się we drzwiach, w któréj, gdy właśnie księżyc wychylił się z za obłoków, poznał Lossum z niemałém zadziwieniem..... Szweda Möllarströma, późniéj Chasseloup nazwanego. Nim zdołał jeszcze okazać mu swoje zadziwienie, tamten prędko u

przędził go mówiąc: „Ratuj mnie panie, zaklinam cię, przed zemstą niegodziwego B*! Ukryj mię u siebie na bardzo krótko, żebym moich wrogów z tropu zbił, i tymczasem obmyślił sposoby dalszéj ucieczki, a będę ci życie winien.

— Mości Panie! odpowie zdziwiony Lossum, niewiem wcale...

— Zamknij drzwi! — przerwie Chasseloup, i pozwól wejść, bo inaczéj zdrajcy podsłuchają nas, i przy świetle księżyca dojrzą. Powinienem się Panu ze wszystkiém zwierzyć.

Kiedy Lossum uczynił zadosyć téj prośbie, zaczął Chasseloup mówić z większą otuchą. Już opowiedziałem pańskiemu przyjacielowi F. Korkowi, jakim przypadkiem uniknąłem uwięzienia, z powodu mojéj nierozważnéj szczerości w dyliżansie, w którym miałem szczęście poznać się z panami. Troskliwy o moje ocalenie, musiałem zrobić użytek z pisma polecającego naszego królewicza do Jenerała B*, które to pismo wystawione było na imie Kapitana Chasseloup, i tym sposobem zasłoniłem się od dalszego prześladowania. Niebyło to dla mnie trudno, bo przebywając długo we Francji, i służąc w wojsku tego narodu, oswoiłem się z jego mową i obyczajami. Nad moje spodziewanie, szczerość

moja spodobała się Jenerałowi, i umiałem użyć mojego wpływu, do złagodzenia albo uchylenia czasem, niejednéj niesprawiedliwości i naduzycia. Jednakże rzetelność moja, nie mogła pokonać jednéj nieuczciwości Jenerała. Powziął on gwałtowną i nieporządną namiętność do siostrzenicy tajnego radcy, zdaje mi się Natalji, i postanowił zaspokoić onę w sposób haniebny. Widząc że moje łagodne przedstawianie, nie odnosi żadnego skutku, pozwoliłem sobie nieco zbyt ostro wyrzucać mu jego nieszlachetne i niegodziwe zamiary. Wszelako dalcki od zaniechania onych, powziął on do mnie nienawiść z którą się już nie ukrywał, i kazał śledzić każdy krok niewinnéj dziewczyny. Porwanie na wsi, któremu przyjaciel pański przeszkodził, było dziełem Jenerała. Powtórny dzisiejszy zamiar, również się nie udał z powodu wmieszania się pana Korka. B* rozgniewał się bardzo, i poprostu złożył na mnie winę, jakobym ja był sprawcą nieudania się jego zamysłów, i jakobym ja donosił o wszystkiém panu Korkowi. Od słowa do słowa, przyszło do żwawéj kłótni, a widząc, że Jenerał dobył na mnie szpady, porwałem nikczemnika, rzuciłem o ziemię, zamknąłem na klucz, i uciekłem. Ale gdzież szukać schronienia wśród nocy, gdzie się

ukryć w kraju zalanym Francuzami? Moja szczęśliwa gwiazda, przyprowadziła mię do tego domu, ujrzałem z dołu pańską postać, drzwi nie były jeszcze zamknięte...wszedłem i jeszcze raz proszę o pomoc i ratunek.

— Nie odmówię ich panu, odpowie szczery i poczciwy Lossum, rozgość się jak możesz najlepiéj; tymczasem sofa niech służy do spoczynku, a ja poszukam co do nakrycia się.

Chasseloup prosił żeby sobie z nim żadnéj przykrości nie czynił, oświadczając, że się bez wszystkiego łatwo obejdzie. Gdy się hrabia nareszcie na spoczynek udał, rzucił się na sofę, ale nie po to żeby spać. Po niejakiéj chwili podniósł się, przekonawszy się poprzednio, że obaj przyjaciele pogrążeni są w śnie głębokim, zapalił ogień za pomocą zapałki i zaczął cały pokój skrupulatnie przeglądać. Zdawało się, że kapitan przewidział wszelkie przeszkody w uskutecznieniu swego zamiaru, albowiem opatrzył się pękiem rozmaitych kluczy i wytrychów; lecz te nie były mu wcale potrzebne, gdyż przyjaciele nie mieli dla siebie żadnych tajemnic, znalazł więc wszystko albo otwarte, albo klucz utkwiony w zamku. Z drżącym pośpiechem zaczął naj-

przód przeglądać rzeczy Korka. Każdy papierek, suknie, uległy ścisłéj rewizji, lecz z nich żadnéj wiadomości wyczerpać nie zdołał. Wtém blade lica Francuza pokryły się uśmiechem złośliwym, gdy odkrył pudełko safjanowe z dobrze trafioną miniaturą Natalji. Z potrząsaniem głowy przyglądał on się kosztownym brylantom w które medaljon był oprawny. Tym razem iskra łakomstwa przebiegła szybko po jego umysle i zagłuszyla zwykłą jego ostrożność, a szukając z coraz większą chciwością nowych zdobyczy, trącił łokciem w gliniany dzbanek który spadając na ziemię narobił hałasu. Jak tylko mógł najprędzéj położył się Chasseloup na sofie, wprzód jednąk przewróciwszy po cichu stołek i ukrywszy pod płaszczem latarkę, oczekując z bojaźnią skutku swego nierozważnego pospiechu.

Józef zerwał się z łóżka, a namacawszy swego przyjaciela posłanie: Adolfie, rzecze mu cicho do ucha, czy nie słyszałeś. Złodzieje muszą się znajdować u nas; wstawaj, trzeba tych śmiałków ukarać; i mówiąc to sięgnął po swoją broń.

— Cóż się stało? zapyta na wpół rozespany Lossum. Co się to ma znaczyć?

— Ocknij się przyjacielu, mamy u siebie nieproszonych gości. W drugim pokoju złodzieje być muszą.

— Hm! odpowie Adolf poziewając; nieproszeni goście? masz słuszność, ale ponieważ już został przyjęty, musiemy go u siebie cierpieć.

— Czy oszalałeś? mamyż się dać dobrowolnie okraść?

— Któż o tém mówi? Złodzieje i nieproszeni goście, jest to pan Chasseloup, który zapewne nadto głośno przeświadcza nas o swojéj obecności.

— Chasseloup? chyba ci się marzy! zkąd do nas mógł przyjć ten dwuznaczny hypokryta.

— Pst! bo mógłbyś z nim mieć do czynienia.

— Ależ poco, zkąd, jak? zmiłuj się powiadaj. Co ciebie mogło skłonić do przyjęcia na noc tak podejrzanego człowieka?

Lossum opowiedział co się stało.

— Musiałbym się bardzo mylić, gdyby ten pan Chasseloup nie był najpodléjszym, najchytrzéjszym intrygantem. Jego zjawienie się zaraz

w dyliżansie, nosiło wyraźną cechę ukartowanego projektu. Już wtenczas wziąłeś mi za złe moje przestrogi żebyś był ostrożnym. Jego powtórne atjemnicze zjawienie się, powinno było otworzyć twoje oczy i dać ci poznać jego prawdziwą wartość. Prócz tego fizognomia jego ma w sobie coś sępowatego, że niewinna jak gołąbek Natalja, wzdryga się ile razy na niego przypadniejéj spojrzéć. Zaklinam cię przeto, na spokojność naszą, żebyś się jak najprędzéj pozbył tego niebezpiecznego człowieka.

— Mój bracie, odpowie Adolf z niejaką urazą, żałuję, że tym razem nie mogę usłuchać twego zdania. Adolf Flasza może czasem niedotrzymać słowa, ale hrabiemu Lossum nie wypada. Obecne położenie pana Chasseloup, nie czyni go jeszcze w mojém rozumieniu podejrzanym, wszakże i ja, w innym prawda względzie, byłem także dwuznacznym, a co się tycze odrazy Natalji, to jest czyste urojenie niewieście, więcéj nic. Można ci wybaczyć, jeżeli idąc za twoją ulubioną, również go cierpieć nie możesz, ale to niewkłada na mnie obowiązku, żebym w mojém postępowaniu, do ciebie się koniecznie miał stosować.

Dotknięty do żywego Korek, umilkł. Pierwszy to był przypadek w którym zdawało się, że hrabia daje czuć mieszczaninowi swoję wyższość. Tymczasem Chasseloup zakrzątnął się żeby wszystko przywrócić do dawnego porządku. Chętnie radby był podsłuchać dopiero przytoczoną rozmowę, ale prowadzoną była głosem przytłumionym.

Nazajutrz, Korek przywitał nieproszonego gościa zimno, a nawet wzgardliwie. Najpierwszą jego czynnością było, troskliwie pochować i pozamykać swoje rzeczy, i wziąść klucze do siebie. Obecność kapitana sprawiła, że Korek bardzo w domu przesiadywał.

X.

Ukaranie.

Dwa dni upłynęło, a Chasseloup jeszcze nie myślał o zapowiedzianéj ucieczce. Wprawdzie czynił on niekiedy wieczorem wycieczkę na miasto, ale zawsze powracał. Trzeciego dnia kiedy Chasseloup znów wyszedł, wszczęła się między

dwoma przyjaciołmi żywa rozmowa, do któréj także zawołano stróża domowego.

— No, mów coś słyszał i widział, rzecze Józef do tego ostatniego, opowiedz wiernie i szczerze.

— Łaskawy panie hrabio...Flasza, jeden z moich krewniaków, jest posługaczem w kawiarni Fietta....nie wiem czyś pan tam kiedy był, albo nie; nazywają go tam powszechnie Jean, chociaż on się prawdziwie zowie Gotfried. Otóż tedy wczoraj wieczorem, ten Jean, czyli też Gotfried, czyścił srebro w małéj izdebce, z któréj małe okienko wychodzi na ostatni pokój kawiarni. Było to może około godziny w pół do dziewiątéj, nie miałem jakoś nic do roboty, i spokojnie patrzałem na zatrudnienie krewniaka. Nie myśląc o niczém chciałem już sobie pójść, gdy w owym pokoiku usłyszałem wymówione nazwisko pańskie i pana Korka. Z początku myślałem sobie, żeście państwo zwyczajnie przyszli na szklankę ponczu, i już chciałem panom przez okienko powiedzieć dobry wieczór, ale wnet spostrzegłem się, że to był pan Chasseloup i jakiś obcy, którzy sami jedni na sofie siedzieli. Nazwiska panów zrozumiałem, ale więcéj nic, bo szwargotali po francuzku. Nie jestem ja ciekawy,

niechwalący się, ale tym razem, taka mnie pokusa ogarnęła, żem poprosił mojego krewniaka, który trochę jest niby Francuz, aby mi powiedział, o czém te wisielce rozmawiali. Dopiero ja to się dziwów nasłuchał, ha! Najprzód hultaje wyśmiewali się, że panu stołeczka podsadzili w dyliżansie. Potém wymyślali na pana Korka, że ich pozbawił obiecanéj przez Jenerała B* nadgrody, przez przeszkodzenie po dwakroć uprowadzeniu panny Natalji. Na ostatek chwalił się Chasseloup, że pana Flaszę na wylot poznał, i w sidła swoje złapał, że pan masz mizerną, płaską głowę, i gdyby tylko chciał, toby pana zaraz zgubił. Potém zaczął rozprawiać o panu Korku, z którym, powiada, daleko trudniejsza sprawa; to jest mówi cały djabeł, skryty i przebiegły, który umie tęgo manowcami chodzić. Jednakże zrobił on, jak powiada, zaraz pierwszego swego noclegu tutaj, pewne odkrycie, które może pana Korka na szubienicę poprowadzić. To wszystko co powiedziałem, jest słowo w słowo prawda.

— A ja ci powtarzam, rzecze Korek, że zaraz nazajutrz, znalazłem pod ostatnią szufladą kantorka, papier, który wiem z pewnością, żem schował do najgłębszéj szuflady.

Po długiem naradzeniu się, schowano stróża do szafy, stojącéj naprzeciwko posłania Chasseloupa, i wywiercono w niéj dziurkę do patrzenia.

— Jeśliby Francuz chciał otworzyć szafę, natenczas zrobisz hałas, a my zaraz przyskoczemy. W przeciwnym razie siedź cicho, ale kapitana z oka nie spuszczaj.

— Spuśćcie się panowie na mnie, już ja będę czatował jak wyżeł.

Chasseloup zdawał się już nie tak bardzo lękać o swoje bespieczeństwo, a nawet przyjął nazajutrz zaproszenie hrabiego Lossum, na kawę, którą kazał przynieść na belwederek. Tymczasem Józef wyswobodził po cichu stróża, który wnet pokazał się z chlebem i masłem jak gdyby z dołu dopiero przyszedł. Po śniadaniu, obaj przyjaciele wymówili się pilnym interesem i odeszli razem z stróżem.

W godzinkę powrócił ten ostatni do kapitana, z oznajmieniem, że panna Natalja kazała go prosić na moment do siebie. Dowiedziała się ona, dodał, że Pan kapitan jest z jéj przyczyny prześladowany, i chciała mu złożyć podziękowanie.

Oszakanie nadto było powabne, ażeby się Chasseloup mógł mu oprzéć.

— Ale, ale, powie stróż, żeby pana nikt obcy na schodach nie spotkał, i dla oszczędzenia fatygi, przygotowałem już panu łabędzia.

Natychmiast zdurzony kapitan wsiadł i maszyna ruszyła, ale tylko kilka łokci, potem stanęła a kapitan wisiał w powietrzu.

— Łotrze! zawoła tenże z gniewem, co to znaczy? zaraz mi spuść maszynę.

— Tylko pan bądź cokolwiek cierpliwy, odpowie stróż.

To cokolwiek jednakże było troche za długie, a kapitanowi zdawało się nawet wieczne. Wszystkie przekleństwa na jakie tylko język francuzki zdobyć się może, nie były szczędzonemi; tymczasem stróż z flegmą powoli zszedł na dół po schodach. Dopiero zobaczył Francuz zdziwiony, że stróż bierze się do wideł, wiadrá z wodą i ręcznéj sikawki. Jak groch o ścianę, tak złorzeczenia Francuza bezpożytecznie odbijały się o zimną krew stróża, który głuchy na wszystko postawił kubel z wodą, wydobył z kieszeni kawał papieru, wsadził na widły, i

wrzucił do czółenka, mówiąc: No! czytaj chłopcze! Zgrzytnął zębami wściekły kapitan skoro przeczytał te dwa wiersze:

„Zdemaskowany łotr Chasseloup, tak
„nazwany Möllarström, zechce natych-
„miast ustąpić z mieszkania podpisa-
„nych. Flasza i Korek."

— No! jakże to smakuje, zapyta stróż?

— Rozjuszony Francuz zgniotł papier ze złości, ale go jednak starannie schował do kieszeni. Nędzni, mruczał, wyzwę ich, muszą się bić ze mną obadwa.

— Co? bić? zawoła stróż, a tak, tak prawda, zasłużyłeś hultaju żebyś był bity, ale nie przez moich dwóch panów, bo by się shańbili gdyby własnych rąk użyli na ciebie zbrodniarzu. Jednak nie wyjdziesz bez przykładnego ukarania z tego domu, który twoja obecność splugawiła. Kto moich dobrych panów obrazi, ze mną ma do czynienia, dla tego przyjmuję twoje wyznanie, chociażby mię panowie mieli łając za figla który ci chcę wypłatać. Nie ma ich w domu, mogę zatém bez przeszkody robić co mi się podoba. Może myślisz, że nie potrafiłem odkryć twoich łotrostw? musiałem całą noc w sza-

sie przesiedzieć, żeby cię podchwycić, w kawiarni Fietty podsłuchałem jak z drugim wybladłym nie dobrego wyśmiewałeś się z moich panów!....

— Słuchaj no, przerwie mu Chasseloup, starając się ułożyć twarz jak najwdzięczniéj, to były tylko żarty. Masz oto dukata, a wypuść mnie, inaczéj lękaj się mojéj zemsty.

— Patrzaj, jaki mi filut, przecież głupi Niemiec potrafił wyprowadzić w pole przebiegłego Francuza, siedź bratku jak mysz w łapce. Wszystkie dukaty całego świata nie tyleby mi uciechy sprawiły. Każesz mi się lękać zemsty? przeciwnie, jesteś w mojéj mocy, ty się lękaj.

— Będę krzyczał, zawołał Francuz.

— Sprobuj synku, a zobaczysz na co ci to wyjdzie. Wszystkie kucharki, pomywaczki, chłopcy, lokaje i t. d. zbiegną się, a jak im opowiem twoje sprawki, to cię wszyscy będą wyśmiewać. No dobywaj szpady, bo ja pojedynek zaczynam.

W saméj rzeczy dobył Chesseloup szpady widząc, że stróż nabiera wodę w sikawkę. W wściekłem uniesieniu wymierzył na niego ostrze, a szpada silnie rzucona, zawarczała w powietrzu i padła tuż koło nóg stróża. To usiłowanie skaleczenia, poruszyło cokolwiek flegmatyczną krew stróża, i zaczął go raz poraz oblewać wodą do-

póki tylko w kuble amunicji starczyło. Gdy téj zabrakło, spoczęła ręka stróża, ale nie język. Mnóstwo wody, która ochrzciwszy kapitana spadała z niego potokiem, zalało całą sień, i domownicy zaczęli się schodzić. Nareszcie też i kapitan zmoczony, pieniący się, prawie w konwulsjach, został na dół spuszczony. Nim jednak się oddalił, ponakrawał wprzód niewidocznie liny, z tém chrześciańskiem życzeniem, aby przynajmniéj choć jeden z właścicieli maszyny kark skręcił.

XI.

Zemsta.

Prostackie i nader dokuczliwe obejście się stróża z kapitanem, sprawiło, że jego panowie słusznie wystawieni byli na szkodliwe dla siebie skutki. Chasseloup bowiem skierował całą swoją zemstę nie na prawdziwego sprawcę, lecz na

niewinnych zupełnie Flaszę i Korka. Gdyby oni mogli byli przewidzieć to co się stało, byliby wcześnie postarali się o zabezpieczenie swoich osób; ale dowiedzieli się o wszystkiém dopiero wtenczas kiedy Chasseloup burzę sprowadził.

Pełni téj pociechy, że znajdą swoje mieszkanie uwolnione od nienawistnego kapitana, wracali obaj przyjaciele do domu. Chciwy zemsty Chasseloup czatował już na nich w sąsiednim domu z zgrają pachołków. Z przezornością nie wpadł on zaraz na swoje ofiary, lecz pozwolił im udać się do domu, w nadziei, że ponacinane liny przyspieszą pożądaną katastrofę. Wszelako omyliła go ta nadzieja. Wprawdzie Flasza i Korek zmierzali do swojéj maszyny, ale z nie malém zadziwieniem, znalazłszy ją zmoczoną i przystęp zalany wodą, przymuszeni byli udać się na górę schodami. Zaledwie weszli do mieszkania, pokazał się wkrótce kommissarz policji i Chasseloup z kilkoma pachołkami, z oznajmieniem, że są aresztowani. Nie uczciwszy nawet spojrzeniem bezwstydnego zdrajcy, nasi przyjaciele poddali się nieuchronnéj konieczności, i sposobili się do wyjścia z kommisarzem. Staraniem kapitana, łabędź wisiał na górze. Liny ponacinane, skurczywszy się z przemoknięcia, utrzymywały łódkę jako tako.

Chasseloup rzuciwszy bazyliszkowe spojrzenie, szyderczo zaproponował, aby się spuścili po łabędziu, mówiąc, że im chętnie uczyni tę przysługę, ażeby po raz ostatni zapewne, użyli napowietrznéj przejażdżki, zwłaszcza, że drzwi domu są dobrze strzeżone, i ostrożność policyjna na tém cierpiéć nie będzie.

Chociażby Flasza i Korek właśnie mieli ochotę spuszczenia się po łabędziu, zdradziecka propozycja samaby ich od tego odstręczyła. Dla tego nie mówiąc słowa, udali się schodami, a z twarzy nędznika łatwo można było wyczytać nieukontentowanie, iż mu się jego piekielny plan nie udał. Przechodząc około mieszkania tajnego radcy, pociągnął Lossum mocno za dzwonek.

— Co pan tam robisz, zawoła ostro Chasseloup.

— Dzwonię, jak widzisz, odpowie Lossum oziębłę,

— Zakazuję wszelkie poruszenie rękami, w przeciwnym razie każę związać.

— Kiedy tak, to mi wolno użyć nóg, odpowiedział Adolf ze wzgardą, wybijając mocno do drzwi nogami.

Już otworzył kapitan usta, do nowego zakazu, gdy przelękniona Barbara ukazała się we drzwiach.

— Powiedz twojemu panu, zawoła Lossum, że z przysługi tego człowieka (wskazał na kapitana), prowadzą nas do więzienia.

— Ani słowa więcéj, krzyknie Chasseloup, odgrażając pięścią.

— Nikczemniku! przerwie Lossum, niewstrzymuje mnie obecność twoich pachołków, żeby ci zaraz karku nakręcić; takim łotrom tylko ręka kata wymierzyć może zasłużoną nagrodę.

Chasseloup zgrzytnął zębami.

Uwięzienie dwóch młodych ludzi pobudziło wielką niechęć nie tylko w domu ale i w sąsiedztwie. Ludzie zgromadzili się i głośno skarżyli się na co raz bardziéj rozpościerające się nadużycia. Przeczuwał to kommissarz policyj, bo kazał sprowadzić powóz dla aresztowanych, którzy kiedy wyjeżdżał z bramy, otworzyło się okno na pierwszém piętrze i wychyliła się z niego z przerazliwym krzykiem, załamująca ręce Eugienja; o nią oparła się także bliska omdlenia Natalja. W kilka chwil nasi przyjaciele osadzeni zostali w więzieniu, a tryumfujący Chasseloup powrócił do mie-

szkania Jenerała B*, gdzie zastał już tajnego radcę, który przyszedł dowiedzieć się o przyczynach aresztowania młodych ludzi, i domagał się uwolnienia hrabiego Lossum, narzeczonego jego siostrzenicy.

Z politowaniem ruszył Jenerał ramionami.— Sprawiedliwość rzecze, musi iść swoim trybem. Wykroczenia tych młodych ludzi są dowiedzione, po większéj części są polityczne. Pan Flasza, czyli jak się teraz dopiero z zadziwieniem dowiaduję, hrabia Lossum, pozwolił sobie wyrażeń nader niebespiecznych i kary godnych, dał u siebie schronienie pewnemu zbiegowi, mojego Adjutanta skrzywdził ciężko, i ukrywał się pod zmyśloném incogoito, pod którém bez wątpienia więcéj niżeli płochość młodzieńcza miała schronienie. Bardziéj się winnym pokazuje drugi więzień, Korek, który dotychczas umiał taić się pod nieprzejrzaną zasłoną nocy. Jasno jednakże pokazuje się, że on należy do bardzo rozgałęzionego związku, który mu dotychczas udzielał opieki. Naostatek udało nam się przecie, odkryć jego tajemniczość. Więcéj panu na teraz nie mogę nic powiedzieć. Niepozostaje pa-

nu jak zostawić tę rzecz czasowi i oczekiwać wypadku, co do mnie, żałuję pana i jego czcigodnéj siostrzenicy, żeście się zadali z tym nieszczęsnym awanturnikiem.

Zasmucony niepomyślnym skutkiem swojego wstawienia się, wrócił baron do domu, nie mając nic pocieszającego do doniesienia siostrzenicom.

— Tak, mówił daléj baron, tu nie ma co robić. Naszym władcą jest brat Napoleona, (wtém obejrzał się ostrożnie) a co najgorsza nieobecny. Cały rząd spoczywa w ręku wojskowéj władzy francuzkiej, która prędko rzeczy załatwia. Żałuję bardzo hrabiego Lossum, że się nadto zadał z Korkiem. Ten związek z mieszczaninem i awanturnikiem, nigdy mi się nie podobał. On go wprowadził w biedę. Człowiek ten z swojém bystrém spojrzeniem, miał coś tajemniczego. Jego ogniste, czarności kruczéj oko, przebijało aż do głębi serca, jakby chciało najskrytszą tajemnicę wydrzéć, ale niechby tylko kto chciał choć cokolwiek za puls go pomacać, i sondę zapuścić, oho, niezawodnie te oczy powiedziałyby mu: „ani się waż śmiały śmiertelniku."

Pomimo strapienia, musiała się Eugienja uśmiechnąć: Widać rzecze, że pan stryjaszek lepiéj się zna na mowie oczów, aniżeli my dzie

wzięta, którym przecież powszechnie ten dar przyznają. Zapewne owe małe, bure, kocie oczy kapitana, muszą być daleko piękniejsze, jak wielkie, ciemne Korka. Natalio, proszę cię żebyś więcéj nie przestraszała się na widok Chasseloupa, bo.....

— Nieba! otóż go macie, zawoła prędko Natalja odwracając się.

Istotnie z krecią układnością wemknął się do pokoju niegodziwiec, mówiąc: Przepraszam, że bez zameldowania wchodzę, ale nie zastałem nikogo w przedpokoju, a mam pilny interes. Niech pani, jeżeli prosić śmiem, nie odwraca odemnie swojéj anielskiéj twarzy, sama pani jesteś głównym przedmiotem mojego tu przyjścia.

— Ja? zapyta Natalja zdumiona. Nie mam z panem wcale nic do czynienia.

— Ale ja mam! przystąpmy do rzeczy, a przekonasz się pani że niesprawiedliwie jesteś uprzedzoną przeciwko mnie. Nie zawsze twarz nadobna, zwierciadłem jest pięknéj duszy. Pan Korek.....

— Cóż tu ma za związek to nazwisko? przerwie dumnie Natalja.

— Zaraz się pani o tém dowiesz; wprzód jednak zapytam się, czyli nie brakuje pani czego, z pomiędzy kosztowności, naprzykład?

— Nic mi niebrakuje mości panie.

— Muszę panią prosić, żebyś się o tém dokładnie przekonać raczyła.

— Nie ma żadnéj potrzeby, kosztowności moje tak są małoznaczące, że jeden rzut oka dostateczny jest do obejrzenia czy wszystko na swojém miejscu.

— Przyznam się, że nie pojmuję tego, bo wiem, że jedna tylko sztuka, warta więcéj jak parę tysięcy talarów.

— Mości panie, odezwie się Natalja obrażona.

— Chociażbym miał na siebie ściągnąć gniew pani, nie mogę tego odwołać, ale owszem utrzymuję, że tak jest.

— Oto jest mój strji, który wie i zna wszystko co do mnie należy, a zatém od niego możesz pan powziąść żądane wiadomości. Po tych słowach Natalja chciała się z pokoju oddalić.

— Panie baronie, rzecze natenczas Chasseloup, proszę nakłonić pańską siostrzenicę, żeby raczyła darować mi kilka jeszcze chwil posłuchania. Zwracam jego uwagę, że jestem tu zesłany z ra-

mienia wyższéj władzy, która szanując dom pański, nie chce mu nasyłać ajentów policyjnych.

— Nie mogę, jak tylko powtórzyć to co moja siostrzenica powiedziała, rzecze baron, proszę mię zatém pytać.

— Niech i tak będzie, ale trzeba żeby siostrzenica pańska pozostała w pokoju.

Baron dał znak Natalji, która wziąwszy w rękę książkę, stanęła woknie, odwróciwszy się od kapitana.

— Niespełna przed dwoma mięsiącami, tutejszy artysta, jeżeli się nie mylę, pan professor Schönek, malował siostrzenicę pańską w miniaturze. Czy mogę zapytać na jaki cel.

— Mości panie, podobne zapytanie....

— Nie pochodzi z mojéj ciekawości, ale jest koniecznie potrzebne.

— Na to pytanie nie ma co odpowiedzieć. Czyliż na co innego każemy malować osoby obchodzące nas blisko, jak ażeby zachować drogą ich pamiątkę, w przypadku wydarzyć się mogącego rozłączenia?

— Przyznaję. Jednakże uważam na ścianie portret hrabianki, a nie widzę drugiego.

— Dla tego, że jak pan sam wiesz, ten ostatni jest w miniaturze, a przeto nie odpowiadałby olejnemu obrazowi.

— Prawda i to. Zapewne pan posiadasz u siebie tę miniaturę, albo też może już jest w ręku szczęśliwego narzeczonego?

— Mój panie, jesteś bezczelnym, zawoła baron z oburzeniem.

— Tak się nie mianuje inkwirenta, odrzeknie uszczypliwie Chasseloup. Wzmiankowana miniatura gra tutaj znaczną rolę, dla tego powinienem ściślej rzeczy dochodzić.

— Obecnie nie znajduje się ona w moich ręku.

— W czyichże więc?

— Dałem ją do oprawienia....

— Komu, gdzie, w co?

— Dałem polecenie pewnemu przyjacielowi, znajomemu....

— Jak się zowie, gdzie mieszka?

— Pan Wormb w Augsburgu.

— Znam to miejsce, tam nie istnieje familja podobnego nazwiska.

— Mój znajomy niedawno tam osiadł.

— Gdzież poprzednio mieszkał?

— W. ...zapomniałem miejsca, gdyż mój przyjaciel będąc obywatelem świata, często zmienia miejsce pobytu.

— Czy tak? Ojciec szanowny siostrzenicy pańskiéj nazywał się Andrich, zapyta Chasseloup, odstępując od poprzedniego przedmiotu.

— Tak jest.

— Pański szwagier był kupcem? a gdzie?

— W Filadefji.

— Tak daleko wprawdzie nie sięgają moje znajomości, ale potrafię to sobie w inny sposób zastąpić. Racz pani powiedzieć mi, na któréj ulicy znajduje się w Filadelfji akademia sztuk pięknych?

Natalja nic na to nie odrzekła.

— Czy oprawa medaljonu, prowadził daléj zapytania kapitaua, będzie kosztowna?

— Zostawiłem w téj mierze mojemu przyjacielowi zupełną wolność?

— Żałuję bardzo, że ja panu coś podobnego nie jestem w stanie pozwolić. Pańskie odpowiedzi powierzchowne i zbaczające, rzuciły na nasze poszukiwania tak pozorne poszlaki, że nie weźmiesz tego za złe, jeżeli, zostawiemy panu w przedpokoju załogę, którąby nie dozwalała państwu żadnéj kommunikacji na zewnątrz.

To powiedziawszy, wyszedł inkwizytor z złośliwém zadowolnieniem, i zostawił barona w niemałym kłopocie.

— Czy też to słychane rzeczy, odezwie się Eugienja, żeby kobiety musiały bądź pocieszycielkami mężczyzn. A jednak muszę na siebie ten obowiązek przyjąć, bo nasz kochany stryjaszek w rospacz gotów wpaść. Stryju! wstydź się, spojrzyj no w zwierciadło, jak blado wyglądasz, i cóż? że ci jeden bezwstydnik, którego mogłeś był kazać bez ceremonji za drzwi wypchnąć, zadawał krzyżowe pytania!

Baron, chodząc wielkiemi krokami po pokoju, zatrzymał się nagle przed hrabianką, spojrzał na nią z niespokojnością i po chwili namyślenia rzekł: Mówisz, tak jak ci się wydaje, Ale ja ci powiadam, że ten Chasseloup, ten wilk gończy, ma w sobie djabła, który poczciwego człowieka wnet o nieszczęście przyprawić może.

— Biedna Nataljo, mówił daléj przeszedłszy się jeszcze kilka razy po pokoju, i przystąpiwszy do téjże, co się z tobą stanie? i ze mną nieszczęśliwym! Ty tylko pojmujesz przyczynę mojego

strapienia. Jeżeli Król królów nie zlituje się nad nami....nie widzę dla nas żadnego ratunku. Wprawdzie uśmiecha się maleńki obłoczek nadziei wśród ciemnéj nocy okrywającéj nas w téj chwili. Od bitwy Drezdeńskiéj, Napoleon ciągle doświadcza niepomyślności, a na równinach Lipska, zbierają się już narody do stanowczéj walki. Daj Boże żeby ta jeszcze pomyślnie dla nas wypadła.

— Czy słyszysz Eugieńjo, rzecze Natalja, jak policjanci w przedpokoju gospodarują?

Skoro tylko Chasseloup straż w przedpokoju barona postawił, pobiegł jeszcze raz do gwiazdarni, dla przepatrzenia lepiéj mieszkania naszych aresztowanych przyjaciół. Takowa rewizja nieże wszystkiém go jednak zadowolniła, i nieukontentowany sposobił się do zejścia po schodach, gdy wtém jakiś człowiek, ten sam któregośmy już poznali w dyliżansie, gdzie tak żarliwie wychwalał Napoleona, i który właściwie był towarzyszem kapitana, wpadł nagle do domu, wołając:

— Gdzie jest pan Chasseloup? Gdy mu stróż oświadczył, że jest w gwiazdarni, kazał sobie

podać natychmiast łabędzia, i z porywczością zwykłą Francuzom, wskoczył w niego, pociągnął właściwy sznur, i w oku mgnieniu wzbił się w powietrze.

— Moulin! krzyknie Chasseloup będący już na schodach z nadzwyczajném przerażeniem.

— Chasseloup, zawoła tamten nieposiadający się z radości, wiem już, wszystko, cała tajemnica się odkryła.

— *Garde à toi*, wrzasnie Chasseloup, widząc jak wyprężone liny w miejscach ponacinanych już ledwie nie pękną.

— Cóż na to powiesz, Korek jest....niedokończył, albowiem w ten moment, liny nie mogąc dłużéj utrzymać ciężaru, zerwały się, łabędź przechylił się raptem, a on wypadł z niego z wysokości pięciu piąter. Razem z gwałtownym upadkiem odbił się po sieniach jęk nieszczęśliwego i krzyk kapitana, który przeklinając zbiegał ze schodów po trzy i cztery. Towarzysz jego miał krzyż złamany i broczył w własnéj krwi; jeszcze oddychał i miał trochę przytomności. — Korek jest....słabym głosem powie.

— Nieszczęśliwy, zawoła Chasseloup, gadaj kto jest ten Korek, gadaj żywo do wszystkich djabłów.

Umierający zebrał jeszcze wszystkie siły, usta jego poruszały się jeszcze, ale głosu żadnego wydać nie mogły. Wtém wysileniu, wśród klątew kapitana, wyzionął ducha. Chasseloup rzucał się jak opętany, targał trupa, wrzeszczał mu do ucha....naprożno....tajemnica razem z nim skonała.

XII.

Horyzont się wypogadza.

Nazajutrz przyniesiono Natalji, podzielającéj z stryjem areszt polityczny, list od Jenerała B*. Żywy rumieniec wstydu i sprawiedliwego gniewu, okrył jéj twarz po przeczytaniu pierwszych zaraz wierszy. „Za tę cenę, nigdy; szemrały lekko

jéj usta, i w tym momencie spłonął na ogniu dowód zuchwalstwa Francuza. Tajny radca zbliżywszy się po chwili do obrażonéj dziewicy, doniósł jéj, że właśnie Chasseloup, odkrył mu najgłówniejszy punkt oskarżenia przeciwko Korkowi. Czy dasz temu wiarę, rzecze, że on, Bóg raczy wiedzieć jakim sposobem, przyszedł do posiadania téj saméj miniatury, która spodziewałem się, i pewny byłem, że wcale w innych ręku być musi. Uważałbym sam rzecz tę jako zmyśloną, ale Chasseloup pokazał mi twoją miniaturę. Ten nikczemnik, złodziej pospolity; szczęście jeszcze, że go trzymają w więzieniu nie razem z hrabią Lossum. — Jednakowoż Chasseloup nie zdaje się być takim łotrem, za jakiego z początku go miałem. Przyrzekł mi pośrednictwo swoje i pomoc; zaręczając, że Lossum nie długo będzie wypuszczony.

— Stój, kochany stryju, przerwie mu Natalja Ani słowa więcéj o tym nędzniku, który zjadliwym językiem stara się zarazić samą niewinność. Korek jest aniołem!... przynajmnéj. dodała niece łagodniéj z lekkiém zarumienieniem, powinnam go uważać za mojego anioła stróża. Jego dusza tak jest czysta, tak wzniosła nad

pozorność tego świata, że jéj najmniéjsza nawet skaza zaćmić nie może.

— Mój Boże! rzecze baron zdumiony, jakież uniesienie.

— Ono jest słuszne, wpadnie Natalja z ogniem, nie ścierpię nigdy, żeby w mojéj obecności znieważano szlachetne nazwisko Korka.

— Żebym ja to był przewidział, powie tajny radca zmięszany, że Pani,... że ty się za tym człowiekiem ujmujesz...

— Zawsze i w każdém zdarzeniu stawam w obronie pognębionéj niewinności. Oświadczam przytem, że raczéj wszystko zniosę, niżeli żebym znienawidzonemu Chasseloup, miała cokolwiek do podziękowania.

— O wilku mowa, a wilk tuż, powie figlarnie Eugienja. Otóż znów przychodzi nasz przezacny Kapitanek.

Z udaném pomięszaniem, wszedł Chasseloup z oznajmieniem że rzeczy źle idą. Zamiast cobym chciał donieść państwu o uwolnieniu hrabiego Lossum, muszę wyznać, że jego areszt został bardziéj obostrzony. Niebespieczny spisek knuje się przeciwko nam. Dzisiaj miano wziąść na indagację Korka, tymczasem znaleziono jego więzienie próżném. Znikł razem z do-

zorcą więzienia, co tém bardziéj zastanawia, że ten ostatni zostawił żonę i pięcioro dzieci.

Nie uszło jego przenikliwości wzruszenie radości, jaka na tę nowinę zabłysła na twarzy Natalji; dla tego dodał uszczypliwie: Tym sposobem już z Korkiem koniec, niech go tylko złapią, będzie natychmiast rozstrzelany.

Jak na złość, uwaga ta bynajmniéj nie zmieniła radości Natalji, i byłby się zapewnie dłużéj jeszcze rozwodził z przygryzkami, gdyby go właśnie do Jenerała nie zawołano. Poszedł więc i więcéj nie wrócił. Chociaż baron i jego siostrzenice, nie mieli wolności wyjścia z pokoju, jednakże w kilku godzin uważali przez okno, że na ulicy, jakąś niespokojność, jakieś poruszenie się rozszerza. Więcéj i tłumniéj niż zwykle zaczęli się ludzie skupiać, i można było wyczytać z ich twarzy pewien rodzaj wesołéj ciekawości. Wojsko było w poruszeniu, jezdcy uwijali się tam i sam; wozy, furgony, cwałem pędziły, obywatele ustępowali się wojskowym, a ci maszerowali z większą jak kiedy nadętością. Barbara, która na wszystkie strony ucha nadstawiała, nie mogła jednak wpaść na prawdziwy domysł, oznajmiała jednak z zarozumiałością, że bardzo ważne wypadki gotują się.

Noc nadeszła, a z nią szmer ponury zwiększył się, i nie ustał aż nade dniem. Jeszcze było ciemno, gdy Barbara niezawołana weszła do sypialni młodych pań, i obudziła je wykrzykiem: Poszli, poszli!

— Czy i hrabia Lossum także? zawołała Eugieńja w pierwszém przelęknieniu.

— Ale gdzie zaś; nasi stróże, Francuzi poszli, wszyscy co do nogi, nawet ten łotr Chasseloup i B*. Przegrali wielką batalią, w któréj Napoleon i wszyscy jego żołnierze na placu polegli, przez całe trzy dni trwała rzeź okropna: Lipsk z ziemią zrównany. Trzech książąt z francuzkiéj strony utonęło, czterech do niewoli się dostało, i dziesięciu Marszałków zabito. Nasz król został znowu, jak dawniéj, Hjeronimem Napoleonem, i więcéj nic. Wojska zwycięzkie są już na strzał karabinowy pod naszém miastem. W całem mieście taka radość, jakiéj jeszcze nie było.

I nasze dziewice zamiast gniewać się że im sen przerwano, radowały się serdecznie, i poszły zaraz obudzić stryja, który tylko z bojaźni udawał niedowierzającego. Ale skoro zobaczył, że w przedpokoju nie ma straży, natychmiast wyszedł na miasto, dla powzięcia dokładnych

o stanie rzeczy wiadomości. Po małéj godzince powrócił baron pałający radością, a zbliżając się do Natalji, wśród głębokich ukłonów, poniósł do ust z uszanowaniem jéj rękę, mówiąc: „Przychodzę oznajmić Waszéj Książęcéj Mości, że panowanie Napoleona już się skończyło. Wygnani przez niego Książęta wracają do swéj dziedziny, i widzę już w myśli na skroni Waszéj Wysokości, Książęcą koronę, a obok niéj piękniejszą koronę myrtową.

— Stryjaszku! zawoła Eugieńja przelękniona radość zbyteczna zamąciła ci głowę, ten żart do prawdy zaczyna mnie niepokoić.

— Ja nie żartuję, odpowie tajny radca, a wziąwszy Eugieńję za rękę, przyprowadził ją przed Natalję, mówiąc: Przeproś Jéj Wysokość, że prawda nierozmyślnie, nie oddawałaś jéj czci i hołdu należnego. Miałaś ten niezasłużony honor, przez dwa lata Księżniczkę Helenę***, córkę dawnego mojego pana i władcy, uważać za swoją kuzynkę, i jako z taką, przestawać w niewymuszonéj poufałości.

W niemém zadziwieniu spoglądała Eugienja raz na swego stryja, to znów na Natalję, która stała w nieopisaném pomięszaniu z spuszczonemi na dół oczami.

— Prawdziwie, odezwie się baron, jestem przymuszony za wysokiém pozwoleniem Waszéj Książęcéj Mości, objaśnić poniekąd moją niepo-słuszną siostrzenicę, ażeby przestała rozumiéć że to są żarty. Kiedy Napoleon zagarnął kraje dostojnego ojca Jéj K. Mości, tenże znalazł z swoją familję schronienie na ziemi angielskiej. Tamtéjszy sposób życia i klima, albo może inne jakie wpływy szkodliwe, zagroziły zdrowiu Jéj Wysokości. Lekarze przepisali kąpiele Pyrmontskie jako najpomocniejsze dla dostojnéj słabéj. Udało się przeprowadzić Księżniczkę niepoznaną do Niemiec, i mój mały domek otrzyma zaszczyt posiadania jéj, pod najściślejszém incognito, gdzie jako moja siostrzenica, używała przepisanych wód. Dzięki Bogu mogę znów oddać drogi zakład w kwitnącym stanie zdrowia mojemu dawnemu, kochanemu Monarsze. Nie mogę także zataić, że w skutek ułożonego zamęźcia Księżniczki Heleny z nader dorodnym Księciem odesłaną została gdzie należy jéj mi-

niatura. Teraz wiesz o wszystkiém, i przekonany jestem, że nie będę miał potrzeby przypominania ci twojego obowiązku.

— O bynajmniéj panie stryju, odpowie Eugieńja, nie mogąc ukryć maleńkiéj miny szyderczéj. A zatém, najpotężniejsza, najłaskawsza Księżniczko, dodała dygając nisko, śmiem....

Księżniczka zalała się łzami; Eugieńjo, przerwie jéj z nadzwyczajném wzruszeniem, to nie, może pochodzić z twojego serca! czyli chcesz abym w dniu, który miljony ludów niemieckich w radości obchodzą, ja jedna miała powód do smutku i żalu że w nim utracam najlepszą przyjaciółkę. Ah! cóż mi na świecie pozostaje oprócz przyjaźni? Zachowaj mi twoją, abym przynajmniej z *jednego* szczęścia miała pociechę. Bądźmy jak dawniéj siostrami.

Eugieńja rozczulona całowała z nadobnéj twarzy perły łez, które nierozmyślnie wycisnęła, a obracając się do stryja, rzecze: Słyszałeś, stryjaszku, jaka jest wola Księżniczki? Twoja sztywna, odrażająca etykieta, nieprzystaje wcale do naszych serc. Śmiało i bez ogródki przyznam się, że nienawidziłabym Natalji, albo jak ją mam teraz nazywać Heleny, gdyby przyjęła moją nie-

szczerą czołobitność. Co mnie ma obchodzić korona książęca; już dawno doświadczyłam że hrabiowska jest przykrą, kiedym mojego Lossum znała pod nazwiskiem Adolfa Flaszy. Ale stryjaszku, powinnam cię przeprosić, za złośliwe wcale podejrzenie. Kiedyś tak bardzo uniosł się na oświadczenie się Korka, o rękę mniemanéj córki kupieckiéj, rozumiałem prawdziwie, że sam miałeś zamysły miłośne dla twojéj wychowanicy. Teraz dopiero poznaję żem zbłądziła, i wyrażenie twoje ówczasowe, że dziesięć hrabin takich jak ja, niezaważą mieszczanki Natalji, znajduję sprawiedliwém.

— Czy wolno wyswobodzonemu więźniowi złożyć uszanowanie tak rano? odezwał się we drzwiach głos znany.

— Mój Lossum! krzyknie Eugieńja rzucając mu się na szyję, poczém wziąwszy go za rękę przedstawiła księżniczce, i oznajmiła nadzwyczajnie zdziwionemu narzeczonemu, jéj rzeczywiste dostojeństwo. Kiedy Lossum oddawał hołd uszanowania należyty, szepnęła Eugieńja: „Jednakże nie mienialabym się z tobą... biedny Korek...o! przebacz, przebacz aniele dobroci! do-

dała prędko zawstydzona, spostrzegłszy na twarzy Heleny wyraz smutku, już nigdy nie będę tak nierozsądną."

Na zgodę uściskały się przyjaciołki serdecznie.

XIII.

Sekretarz gabinetowy.

W r. 1811, zgromadziły się w Wiedniu najznakomitsze osoby Europy, a między niemi był Książe **, który wszedł na powrót w posiadłości swoje. Eugienja, teraz już hrabina Lossum, codzienną prawie była towarzyszką dawnéj swojéj kuzynki,

która jako księżniczka, jeszcze ściśléjszą do niéj przyjaźń powzięła. Pewnego razu, zwróciła Eugienja rozmowę na wcześniéjsze wypadki w domu stryja. Moj Adolf, mówiła, udzielił mi dzisiaj wiadomości o dwóch głównych osobach naszego dramatu. Mówię, dodała z lekkim uśmiechem widząc że Heleny lica pokryły się purpurą, o Jenerale B*, i o bezwstydnym Chasseloup. Pierwszy znalazł zaszczytny zgon na placu boju, ostatni skończył na gałęzi. Do zakończenia sztuki niedostaje nam jednego, którego wymienić nieśmiem, a jednakże ten jeden niemało kłopotu sprawia Adolfowi. Wszelkie poszukiwania, żeby się dowiedzieć co się z nim stało po ucieczce z więzienia, okazały się bezskutecznemi. Mnie saméj nawet...

— Wasza książęca Mość, zameldował w téj chwili lokaj, jakiś pan Korek prosi o łaskawe posłuchanie.

Niespodziane to oznajmienie lokaja, zmięszało nadzwyczajnie obie przyjacioIki. „Droga Eugienjo, radź mi co mam czynić.

— Odpowiedź na takie zapytanie, odpowie Eugienja, która i w obecnem usposobieniu umysłu, niebyla wstanie przytłumić wrodzonéj we

sołości, dałaby wiele do myślenia samemu nawet rzeczywistemu tajnemu radzcy, cóż dopiero słabéj kobiecie. Radź się własnego serca,...to jest moje zdanie.

— Nie, nie, rzecze Helena z bolesném uczuciem, nie mogę, mnie nie wolno mieć serca.

— Biedny, ubolewała hrabina; czy myślisz go doprawdy okrutnie z niczém odprawić? przez wzgląd na mojego męża, radabym była z nim pomówić.

— Niech wnijdzie, rzekła Helena lokajowi, który stał zdaleka i nie dosłyszał dopiero przytoczonej rozmowy. Księżniczka tymczasem odwróciła się od swojéj przyjaciółki, i w niemej trwodze, z wzniesionemi do góry oczami, zdawała się czerpać z nieba potrzebną siłę do zbliżającego się momentu. Twarz jéj była blada, jak chustka, gdy się drzwi otworzyły i Korek wszedł oddając głęboki ukłon. Postać jego zyskała na męzkości, ubior nie wykwintny ale gustowny, a cera twarzy naturalna, przekonywała, że nie tylko potrzeby ale zgryzot nie doświadczał. Przystojnie a nawet z godnością niejaką, Korek zbliżył się do dam.

Eugienja, któréj skłopotanie księżniczki nie uszło baczności chciała uprzedzić w odezwaniu się

przybywającego, i przyjęła go z wesołém wykrzyknieniem: Jakto? panie Korek, powinienbyś się wytłómaczyć dla czego tak zupełnie zaniedbałeś twoich dawnych przyjaciół, do których i ja mam prawo się liczyć? mój mąż nie tak łatwo ci to przebaczy, bo, i czemże się usprawiedliwisz, żeś dotąd pozostawił nas w niewiadomości o twoim losie? Jakim sposobem potrafiłeś uwolnić się owego czasu z więzienia? gdzie przebywałeś dotychczas? Lossum będzie mnie wypytywał o najdrobniejsze szczegóły; ale podobno lepiéj będzie, kiedy mnie pan sam do domu odprowadzisz.

Obsypany mnóstwem zapytań Korek, uśmiechnął się lekko, mówiąc: Łaskawa pani! gdybym się był mógł domyśléć, że los mało co znaczącego Korka, będzie ją poniekąd zajmował, uważałbym sobie za najświętszy obowiązek, najpierwéj pani donieść o sobie....

— Panie Korek, przerwie Eugienja z przymówką, wstydź się tak mówić. Ty nie możesz tak myśléć, ja widzę, że się taisz z twemi uczuciami.

— Niekiedy dobrze jest, a nawet i potrzeba, prawdziwe myśli i uczucia ukrywać; ja sam, z wielkim moim wstydem wyrzucać muszę sobie, dawniejszą moją otwartość serca, która wyniknęła z pomyłki godnéj przebaczenia. Nieznaczny rzut oka mówiącego na księżniczkę, okrył jéj lica mocnym rumieńcem.

— Wasza K. Mość, mówił daléj Korek, obracając się do Heleny, raczy łaskawie wybaczyć, jeśli z powodu wymówek przyjaźni pani hrabiny, dotąd nie pośpieszyłem z wykonaniem świętego obowiązku, który mnie zbliża do Jéj wysokiej osoby.

— O! bardzo proszę! przemówiła z roztargnieniem księżniczka, niech pan nie przerywa sobie, Eugienjo! przysłuchiwaiam się z wielkiem zajęciem. Panie Korek, jestem panu bardzo obowiązaną.

— Tak, przerwie hrabina, my wszyscy jesteśmy panu obowiązanemi. Mój Adolf, mój stryj, będą się niewymownie cieszyli, jak cię uściskają. Najświętszym przedewszystkiém obowiązkiem twoim jest, panie Korku, połączyć się z nami węzłem nierozerwanéj przyjaźni.

— Łaskawa hrabino, rzecze Korek z rozrzewnieniem, nie bądź tak okrutną, i nie przywodź

mi na pamięć dawniéjszych marzeń, które mię niegdyś nad miarę uszczęśliwiały, a które znikły jak bańka mydlana, zostawiwszy po sobie tylko bolesne wspomnienie.

Teraz Korek zebrawszy całą swoją spokojność umysłu, zwrócił mowę do księżniczki: Spotkała mnie łaska niezasłużona, Książę**, raczył mnie mianować swoim sekretarzem gabinetowym, i powierzył zaszczytne zlecenie do Waszéj Wysokości.“—Helena zbladła, wśród drżenia, które się po całem jéj ciele rozeszło, wyrzekła ona te przerywane słowa:

— Pana, mości panie Korek?.....Jego K. Mość?

— Tak jest, Jego Książęca Mość, mój dostojny pan, składa W. K. Mości przez moje ręce swój portret. który dawno już powinien był być jéj przesłany. Na te słowa, z oczami spuszczonemi podał Korek księżniczce pudełko.

Helena tak z sił opadła, że nie była w stanie wyciągnąć ręki na odebranie pudełka. Uchwyciła się najbliższego przedmiotu, nogi pod nią zadrżały. a zakrywszy oczy chustką, z widocznêm utraceniem tchu wymówiła: Panie Korek...Eugieńjo... w głowie mi się przewraca....Eugieńjo... ratuj.

Natychmiast Korek przyskoczył dla wsparcia omdlewającéj, a Eugienja pobiegła do drugiego pokoju po krople orzeźwiające, lecz gdy z niemi wróciła ujrzała że były już niepotrzebnemi. Nie chciała własnym oczom wierzyć, lecz jak wryta stanęła w progu, zobaczywszy księżniczkę leżącą na sofie spokojnie jak gdyby nigdy nie zemdlała, i klęczącego przed nią sekretarza gabinetowego, który niebronioną mu rękę, ognistemi okrywał pocałowaniami.

— Moja najdroższa, najukochańsza Heleno! mówił on głosem poruszającym, a ciemne oczy jego, z czułością wpatrywały się w jéj niebieskie rozpływające się oko; jéj głowa wstydliwie nachyliła się nieco ku klęczącemu.

To już było nadto. Tak nagłe przejście z nieśmiałości do najwyższéj bezczelności ze strony Korka, zaś ze strony Heleny, ze ścisłéj wstrzemięźliwości, do zupełnego zapomnienia się, przechodziło wszelkie pojęcie Eugienji. Bez szelestu wróciła napowrót do pobocznego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, wahając się czy miała przeszkodzić lub nie, temu nader niedyplomatycznemu sam na sam. Z téj niepewności wybawił ją szczęśliwy sekretarz, który wkrótce oddalił się z pokoju księżniczki.

— Biedny książe, pomyślała sobie Eugienja, ale też ktoby się spodział coś podobnego po skromnéj Helenie.

Gdy się Eugienja zbliżyła, zastała ją w zupełném obłąkaniu, z oczami w niebo wzniesionemi, z małym medaljonem w ręku, który do piersi, to znów do ust przyciskała. Spostrzegiszy swoją przyjaciłkę, Helena rzuciła się jéj na szyję, łzy puściły się jéj z oczu, ale mówić nie mogła. Po niejakiém wysileniu, zawołała z głębokiém wzruszeniem: „O mój Boże, czy ja zasłużyłam na tyle szczęścia! Eugienjo, jestem jego, on moim... na zawsze! raduj się ze mną!

XIV.

Rozwiązanie.

— Tak samotny? Lossum? zapytał jeden z przyjaciół hrabiego w loży teatralnej, gdzież twoja nieoszacowana małżonka?

— Za nadto mię ona dziś zaniedbuje; już od samego rana jest u księżniczki Heleny, i nawet

na obiad nie wróciła. Po teatrze mają być uroczyste pokoje u państwa młodych, i dla tego mniemam że księżniczka wstępując w stan małżeński, nie obejdzie się bez pomocy mojéj żony. Z powodu dzisiejszych zaręczyn, książe ojciec Heleny daje świetny wieczór...

— Na którym bezwątpienia będziesz się znajdował?

— W saméj rzeczy, z powodu żony niewypadało mi nie przyjmować zaproszenia, lecz prócz tego, los Heleny obchodzi mnie najmocniéj. Jest to anielska istota i najszczersza przyjaciołka mojéj Eugienji. Oby była szczęśliwą w swojém pożyciu małżeńskim!...

— Czy widziałeś jéj narzeczonego?

— Nie jeszcze, dopiero wczoraj przyjechał tu z swoim ojcem.

— Wieść o nim dziwne rzeczy głosi. Miał on z początku poświęcić się zawodowi wojskowemu, ale kiedy jego brat starszy umarł na zgniłą gorączkę, a drugi zginął w wojnie przeciw Napoleonowi, zniewoliły go prośby strapionego ojca do zamienienia oręża, na ciche pielgęnowanie Muz. Pod najściślejszém *incognito* uczęszczał przez lat kilka na Uniwersytet Lipski, gdzie związał się najściślejszą przyjaźnią z pewnym współ-

uczniem pochodzenia miejskiego, nazwiskiem Korek. Z tym ostatnim przybył później do miasta Kassel, ażeby poznać osobiście, przebywającą tamże, również pod najściślejszém *incognito* Księżniczkę Helenę. Mówią iż stary Książę pozwolił synowi wybrać sobie z pomiędzy europejskich księżniczek, żonę według serca, jak to powiadają, o tóż widzisz, że Helena, to mile stworzeniem ustaliła jego wybór. Nie będąc od niéj znany, potrafił zbliżyć się do niéj, lecz władze francuzkie zaczęły wietrzyć jego prawdziwą dostojność, musiał zatém co tchu uciekać, a jego przyjaciela Korka wzięto do kozy, zkąd go dopiero złoto księcia oswobodziło.

Mało nie parsknął od śmiechu Lossum. Mój przyjacielu, naprawiłeś mi historji, w których prawda i kłamstwo dziwnie są połączone. Nikt cię w téj mierze lepiéj nie objaśni jak ja, który jestem wplątany w tę awanturkę. Mój przyjaciel, prawda mieszczanin, ale zacny i szlachetny pod każdym względem, nazywał się Korek, i był zemną na Uniwersytecie w Lipsku. Z wielu powodów zachowywałem incognito pod przybraném nazwiskiem Flasza. Pod tym także nazwiskiem dałem się poznać w domu mojéj teraźniej-

széj żony, i tylko zbyteczna miłość zniewoliła mię do odkrycia wcześniéj niż zamierzyłem, że jestem hrabią. Korek, który równie jak my wszyscy, z wyłączeniem tajnego radcy, uważał księżniczkę, jako pozostałą córkę po kupcu z Hamburga, starał się o jéj rękę, lecz, jak się łatwo domyślisz, odmówiono mu. Pewna porywczość z mojéj strony przeciwko Francuzom, osadziła nas obudwóch w więzieniu, z którego Korek potrafił umknąć, ja zaś w skutek Lipskiej bitwy wolność odzyskałem. Taka jest prawdziwa historja, a reszta bajki, chybaby....

— Czy uważasz kochany Lossum, przerwie mu przyjaciel, jak wszystkich oczy na nas są zwrócone. Co to się znaczy?...Ale nie, te ukłony osób najznakomitszych, nie do nas się przecież ściągają. Mówiąc to wychylił głowę z loży.

— Aha! wiem już....książę ** z swoim synem, znajduje się w loży pod nami!... piękny mężczyzna, ten pan młody, ma na sobie dzisiaj swój dawny mundur dragonów. Szkoda, że go z twarzy nie można zobaczyć.

Z ciekawości wychylił się także i Lossum, ale książęta właśnie usunęli się nieco w głąb loży i nie mógł ich zobaczyć. Po skończeniu sztuki gdy hrabia zobaczył, że loża książąt już jest próżna, pocieszał się tém, że zaspokoi swoję ciekawość na wieczorze. Kazał się przeto zaraz zawieść do pałacu ojca Heleny, gdy wysiadłszy, napotkał w sieniach Korka, którego z najżywszą radością uściskał. Surdut granatowy zapięty pod samą szyję, okrywał go całego, i tylko ostrogi u butów błyszczały.

I ty tutaj także? zawoła Lossum. Chociaż niecierpliwy jestem zobaczyć narzeczonego Heleny, przyjemniéj mi jednak żem się z tobą spotkał. Pójdźmy prędko gdzie w jakie ustronie, żeby się do woli nagadać. Jakże ci się powodzi? tak dawno nie dałeś mi o sobie wiadomości; niedobry jesteś.

-- Kochany Lossum, odpowie Korek czule, ty jesteś zawsze moim dawnym, wiernym przyjacielem, ja nim także chcę być. Mam ci wiele rzeczy do powiedzenia, ale nie mam na to czasu. Książę mój pan, którego jestem teraz sekretarzem gabinetowym, kazał mię spieszno do siebie wołać, a wiesz dobrze, że służba jest pierwsza. Zatém wybacz, że ci teraz służyć nie mo-

gę, ale za pół godzinki spodziewam się że będę wolny.

— Prawie mi jest przykro, rzecze Lossum, żeś przeniosł służbę księcia, nad moją. U mnie byłbyś przyjacielem a nie podwładnym.

— Trudno, nie ode mnie to zależało, jednakże nie tracę nadziei, że późniéj bliżéj z sobą przestawać będziemy.

— Ale wiesz co, uczynił uwagę Lossum, jak na sekretarza wyglądasz mi coś po żołniersku, nawet widzę pod twoim surdutem pałasz.

— Ten należy do księcia; co się tycze ubioru, musiałem się w tém zastosować do niego' gdyż i on przywdział uniform.

Uścisnąwszy hrabiego serdecznie za rękę, Korek pobiegł na górę bocznemi schodami, a Lossum wszedł do sali, w któréj już znajdowało się świetne zgromadzenie, oczekujące na przybycie dostojnéj pary. W kwadrans może, otworzyły się szeroko podwoje, obecni goście stanęli w pół-kole, i państwo młodzi weszli.

Lossum nic nie widział; ani nieporównanych wdzięków księżnéj podniesionych jeszcze bogatym ubiorem i klejnotami, ani żywéj radości jaka się na jéj twarzy malowała, ani nawet głębokich ukłonów, oddawanych przez wszystkich dostojnéj pa-

rze, stał jakby piorunem rażony, gdyż książe, w majestatycznéj swietności, w ubiorze haftowanym, gwiazdami obsypany, był to....... Korek! — Lossum dopiero wtedy do siebie przyszedł, gdy książe razem z swoją narzeczoną, jéj ojcem, Eugieniją i tajnym Radcą, przed nim stanął i serdecznie ucałował.

— Drogi Adolfie! doświadczony przyjacielu, przemówił mniemany Korek do zdziwionego hrabiego, znałem twoje incognito, kiedy starałem się pozyskać przyjaźń studenta Flaszy, ale ty o moiém nie wiedziałeś. Z téj przyczyny przewyższyłeś mnie w wspaniałości, kochając ubogiego Korka. Kochajże mnie stale i na dal, i niech się teraz zjiści to, co tak gorąco zawsze pragnęliśmy: bądźmy na zawsze złączeni! Tym sposobem winien będę mojemu incognito, dwa najdroższe klejnoty, ubóstwioną małżonkę, i wiernego przyjaciela.

Wśród powszechnego okrzyku radości, Lossum rzucił się w objęcia księcia.

NOC BURZLIWA

NA MORZU ADRJATYCKIEM.

Z Triestu wypłynęliśmy o godzinie dziesiątéj wieczorem, wpośród grzmotów i błyskawic, noc była nadzwyczajnie piękna. Mgła ściągała się ze wszech stron z brzegów, jakby chciała zgromadzić się zupełnie nad samém miastem. Nasz statek parowy ślizgał się po gładkiéj jak zwierciadło powierzchni morza. Widzieliśmy błyskawice przerzynające się przez szaro-czarne chmury, wzburzone i przeciążone deszczem; słyszeliśmy szum wichru, który wył w górnych strefach at-

mosfery, ale morze było spokojne, tylko nad brzegiem, burza zdawała się chcieć wywrzéć całą swoję okropną siłę. Jeszcze mogliśmy poza sobą widziéć migające się światło latarni morskiéj w Trieście, z lewéj zaś strony światło Salvory wypływało z pośród ciemności jak świetna gwiazda. Na srebrnéj tarczy księżyca przesuwały się szybko rozdarte chmury i znikały nam z oczu w czarownych postaciach. Przy świetle téj niebieskiéj latarni, widzieliśmy pojedyncze okręty, które z rozpuszczonemi żaglami w różnych kierunkach mijały nas, ale chwilowo tylko mogliśmy ich bieg uważać, bo nagle zakrywające księżyc chmury, pogrążały nas w zupełnéj ciemności.

Ta noc, niekiedy rozproszona błyskawicami i łagodném światłem księżyca, przedstawiała nam w swoim miłym rozkosznym chłodzie, przyjemności jakich tylko doznawać można, ale nie opisać. A jednak znaczna część podróżnych spała. Tylko jakiś doktór i młody urzędnik z Wiednia ze wszystkich podróżnych pierwszéj kajuty, pozostali wraz ze mną na pokładzie. Po północy, kiedy księżyc zniknął z horyzontu, chciałem i ja przespać się z godzinkę i położyłem się w moje wiszące łóżko, ale nie mogłem za-

snąć, bo jakiś tłusty Grek, chrapał perjodycznie tak silnie, że aż strach było słuchać. Siedmiu podróżnych którzy w téj saméj kajucie spali, różnemi sposobami wyrażało nieukontentowanie swoje z powodu takiéj przeszkody do spania.—„Ah, to okropnie;“ zawołał w bliskości Greka śpiący Francuz.—„*God dam*! mości panie, ucisz się pan, bo zasnąć nie mogę“ mruknął między zębami jakiś Anglik. Ale to chwilowo tylko pomogło, bo to okropne chrapanie, które u tego człowieka zdawało się być chorobą, rozpoczynało się ciągle nanowo. Nakoniec jakiś baron węgierski, któremu się ta barbarzyńska muzyka także nie podobała, świsnął w palce tak silnie, że nie tylko wszyscy podróżni zerwali się, ale nawet chrapiący Grek podniósł się i przetarł oczy. Nastąpiła komiczna scena, rozespani podróżni z podziwieniem spoglądali na siebie wzajemnie, ci którzy ciągle czuwali nie mogli się wstrzymać od śmiechu, a całe towarzystwo zaczęło się śmiać unissono: „Bierz licho sen! zawołałem i pobiegłem na pokład.

Wesoło posuwał się okręt w pośród ciemnéj nieprzejrzanéj nocy; w górze na maszcie zawieszona była latarnia, któréj błahe światło, zaledwie było dostateczném do rozeznania potrzeb-

nych przedmiotów na pokładzie. Szczególny szum dawał się słyszéć w odległości. Zapytałem sternika co to znaczy.—„To jest wiatr, sądzę, że burza się zbliża odpowiedział on. Jstotnie, już coraz bliżéj grzmiał piorun, widzieliśmy błyskawice rozdzierające czarność chmur, zdawały się one w zygzakowym swym biegu, szukać przedmiotu do pewnéj zguby; ale tylko grób znajdowały w wzburzonym nieprzyjaznym żywiole.

Morze zaczęło zwolna coraz głębiéj się roztwierać, wicher wył straszliwie, maszty i drągi trzeszczały, liny skrzypiały, a okręt wesoło tańczył przy świście wiatru, któremu niekiedy towarzyszył grom piorunu. O jak to wzniosła, olbrzymia muzyka do wesołego tańca po ryczących wałach!—Ha! W takim razie sternik czuje czém jest! Z dumą stoi on przy sterze i kieruje okrętem wpośród wzburzonego żywiołu, błyskawic i piorunów, serce jego wznosi się na myśl o niebezpieczeństwie, bo wie, że potrafi sztuką i zręcznością odnieść nad niém zwycięstwo. Przeciwnie kapitan okrętu zdawało się, że zupełnie stracił przytomność i jedynie spuścił się na sternika, wczém nawet miał słuszność

bo ten przynajmniej okazał zupełną spokojność wpośród mało znaczącego niebezpieczeństwa. Ci Włosi, zacząwszy od kapitana aż do najmłodszego z chłopców okrętowych, zdawali mi się nie zbyt dzielnemi marynarzami.

Bawiło mię intermezzo które teraz powstało na okręcie. Swiatło na maszcie, dawno już wiatr zgasił, a nawet zrzucił latarnię, i tylko przy świetle błyskawic można było dojrzeć niekiedy chwilowo, wrzawę i ruch na pokładzie. Spiący jeszcze na pół podróżni, gramolili się na pokład; byli tam, Turcy, Grecy, żołnierze i duchowni, mężczyzni i kobiety w rozmaitych ubiorach. —„Co za okropna burza! zawołał wysoki chudy Anglik, pnąc się rękami i nogami z kajuty na pokład.—„Wiatr silnie się podnosi!" odezwał się mały Włoch, taczając się ku galerji któréj się silnie uchwycił.—„Czy wielkie niebezpieczeństwo? zapytała mnie nieszpetna wcale Niemka, wyglądając z chustką przy ustach przez okienko,— „Bądź pani spokojną, nie ma wcale niebespieczeństwa." odpowiedziałem. Przy téj sposobności rzuciłem okiem w kajutę kobiet. O nieba! tam było zupełnie jakby w lazarecie; całe podróżne

apteki były rozłożone, flaszki z wodą kolońską, bańki z likierem, flakoniki z kroplami, porozrzucane były do koła. Tu wzdychała jakaś lady: ,,Ach! czuję się bardzo słabą"—tam mówiła jakaś signora:—,,Ach! strasznie mi nie dobrze!" — ,,Głowa mię boli, gorączkę mam!" wzdychała jakaś baronowa, a jéj pokojówka usiłowała ją pocieszyć mówiąc: ,,To są skutki słabości morskiéj' bądź pani spokojną. ,,Nie; nie wytrzymam tu dłużéj, mówiła chwiejąc się po schodach węgierska hrabina, z którą poznałem się przy *table d' hôte* w Trieście; naprózno towarzyszka jéj zatrzymywała ją aby nie szła na pokład. Ta ostatnia zobaczywszy mnie, zapytała. ,,Czy tam panie bezpiecznie na pokładzie?"—,,Nie zewszystkiém, odpowiedziałem, szczególnie dla dam, bo trzeba się silnie trzymać jakiego mocnego punktu, żeby co chwila nie upaść; przytém wystawiłybyście się panie, na zupełne przemoknienie, nie od deszczu, ale od bałwanów które się na pokład miotają."—Ale to nic nie pomogło, moja hrabina odpowiedziała mi tylko:—,,Bądź pan łaskaw pomóż mi wyjść ztąd, bo nie mogę dłużéj w kajucie pozostać, muszę odetchnąć wolném powietrzem. Słabość morska istotnie doszła do wysokiego stopnia u téj damy, obejrzałem się

więc troskliwie szukając lekarza, ale ten sam sobie nie mógł pomocy udzielić, leżał bowiem osłabiony jakby na pół umarły. Nie pozostało mi zatém nic więcéj, jak wyprowadzić moją damę ile możności jak najbezpieczniéj na chwiejący się pokład. Z pomocą jéj towarzyszki udało mi się doprowadzić ją na środek statku gdzie się znajduje przykrycie kół, to miejsce bowiem najmniéj ulega kołysaniu się. Ale zaledwie pozostaljśmy tam przez kilka minut, kiedy silny bałwan uderzając o bok statku, rozprysł się nad nami i pokrył nas od stóp do głów wodą. „Jezus Marja! zawołały jakby jednym głosem kobiety, zginęłyśmy!“ Uspokój się, pani, rzekłem, morze się zlitowało nad pani cierpieniami, ponieważ zesłało jéj jedyny środek mogący ulżyć jéj słabości. Jesteś pani już uleczoną, udaj się do kajuty, zmienić suknie.

Kobiety usłuchały mojéj rady, i miałem nowy dowód skuteczności środka, którego na sobie doświadczyłem; zmieniwszy bowiem ubior, pospieszyłem do nich, dowiedziéć się o stan ich zdrowia. Znalazłem je zupełnie zdrowe i śmiejące się wesoło z przypadku jaki miały na pokładzie; nie mogły one pojąć jakim sposobem przepowiedziałem z taką pewnością skutki téj mimo-

wolnéj morskiéj kąpieli? — „Opowiem to paniom w krótkości, rzekłem. Potrzeba było dwóch daleko ostrzéjszych kuracji, aby mię uleczyć z słabości morskiéj. Pierwszą zniosłem na statku parowym hollenderskim, którym wypłynąłem z Amsterdamu; burza była okropna, słabość od razu się objawiła. Kiedyśmy znajdowali się na wysokości Enkhurzen, burza przetworzyła się w wicher, w straszliwy orkan, nasz statek rzucany był wysoko jak wieże Triestu; moja słabość powiększyła się gwałtownie; zaledwie zdołałem się zawlec na przód okrętu; tu kilku majtków zajętych było umocowaniem masztu i rury parowéj, za pomocą grubych lin, ponieważ burza groziła obaleniem obojga; nagle, okropny bałwan uderzył na pokład, uczułem się porwanym siłą jego i uderzonym o jakiś twardy przedmiot; były to rozmaite na pokładzie ustawione kufry i pudła, te tylko ocaliły mię od upadku w morze. Jeden majtek został przerzucony przez bort, ale na szczęście nie puścił liny którą właśnie miał w ręku, i pomimo że go już kilkanaście sążni od okrętu uniosła siła wody, wyciągnięto go bez uszkodzenia na pokład. Chociaż aż do skóry przemokły, uczułem się lekkim i rzeskim jakbym się na nowo odrodził, słabość moja znikła i przez cały czas

tej podróży nie doznałem jéj najmniéjszego śladu.

Druga kuracja, była cokolwiek ostrzejszą, bo zaledwie życiem jéj nie opłaciłem. Wpośród gwałtownego wiatru, wsiadłem na mały statek w Bremerhafen, niedaleko ujścia Wezery, mając się udać w górę rzeki do Brake. Oprócz sternika i jego chłopców znajdowało się na tym statku ośmiu podróżnych, ponajwiększéj części marynarzy, którzy zaledwie mogli się zmieścić w małéj w środku statku znajdującéj się kajucie; a zewnątrz nikt nie chciał pozostać, bo deszcz gwałtownie padał i wiatr był straszliwy. Zamknięty w ciasnéj przestrzeni kajuty, w skutku kołysania się okrętu, uczułem wkrótce silny napad morskiéj słabości, bo na małym statku prędzéj ulegamy téj słabości jak na wielkim. Otworzyłem przeto drwi kajuty, aby odetchnąć świeżém powietrzem. Sternik zmokły na wskróś, prosił jednego z majtków aby na chwilę zajął się kierunkiem statku, a sam schronił się do kajuty. Przy coraz gwałtowniéjszém kołysaniu się okrętu, który jak skorupka od orzecha tańcował na wałach, stan mój stał się nieznośnym; usiadłem w bliskości drzwi kajuty nie tylko z powodu swieżego powietrza, ale aby być gotowym wyjść szybko w razie potrzeby.

Własnie wysadziłem ociężałą głowę z otwartych na pół drzwi kajuty, kiedy silne uderzenie wiatru przechyliło okręt na stronę; niebyło czasu do ratowania, bo drugie uderzenie przewróciło statek, i woda zaczęła się cisnąć na pokład tak gwałtownie, że w kilka sekund napełniła kajutę; statek tak był pochylony, że żagle w wodzie pływały; na szczęście nie mógł zatonąć, bo przód był dobrze zamknięty i utrzymywał go na wodzie. Jak tylko ujrzałem wodę cisnącą się na okręt, wybiegłem z kajuty, i wdrapałem się na górny brzeg okrętu, trzymając się silnie galerji.

Machinalnie naśladowali mię inni i warto było widzieć jak dziesięciu ludzi zawieszonych między wodą i niebem unosiło się wpośród wściekłych wałów. Uczułem się zupełnie uwolnionym od słabości morskiéj, i tak lekkim, że zaledwie mogłem się wstrzymać od śmiechu, widząc obok siebie dwóch Izraelitów, którzy ledwie żywi, drżąc ze strachu, krzyczeli o pomoc. Udało nam się, ściągnąć żagle, które statek utrzymywały w pochyłém położeniu, ciężar dziesięciu osób na jednéj stronie uwieszonych, przy pomocy kołysania wałów, przywrócił go do naturalnego położenia, wyrzuciliśmy wodę szuflami, i rozpięliśmy

na nowo żagle. Po upływie godziny, przemokli i prawie skościali od zimna, (było to w początku Kwietnia) przybyliśmy na miejsce naszego przeznaczenia. Od tego ostatniego przypadku, nie doświadczyłem już ani razu słabości morskiéj; czy to kąpiel morska czy też gwałtowne zalęknienie jest na nią lekarstwem, tego nie potrafię rozstrzygnąć, dość moje panie, że doświadczyłyście same tego skutku."

Podczas tego opowiadania, burza ucichła, i morze zdawało się zwolna uspokajać. Na wschodzie wyjaśniało się, słońce wzniosło się wspaniale jak olbrzymi złoty balon, wkrótce promienie jego odbiły się w szmaragdowo zielonych kołyszących się wałach, a cały okręt wydawał się jakby oblany purpurą. Jaki cudowny, wznoszący duszę widok! Zdawał się on wołać na nas: „Padnij w proch słaby człowieku, i uwielbiaj niepojętego stwórcę światów!"—Zaiste nic bardziéj nie przejmuje człowieka czcią dla Najwyższego, jak uczucia których doznaje dusza ludzka, na widok wzniosłych obrazów natury, O! jakże nieskończenie potężnym wydaje się twórca tego wszystkiego, jakże nędznym i znikomym, drobnym robaczkiem jest człowiek, w swojéj mniemanéj wielkości!

SPIS RZECZY.

W TOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

Półrocze drugie.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.